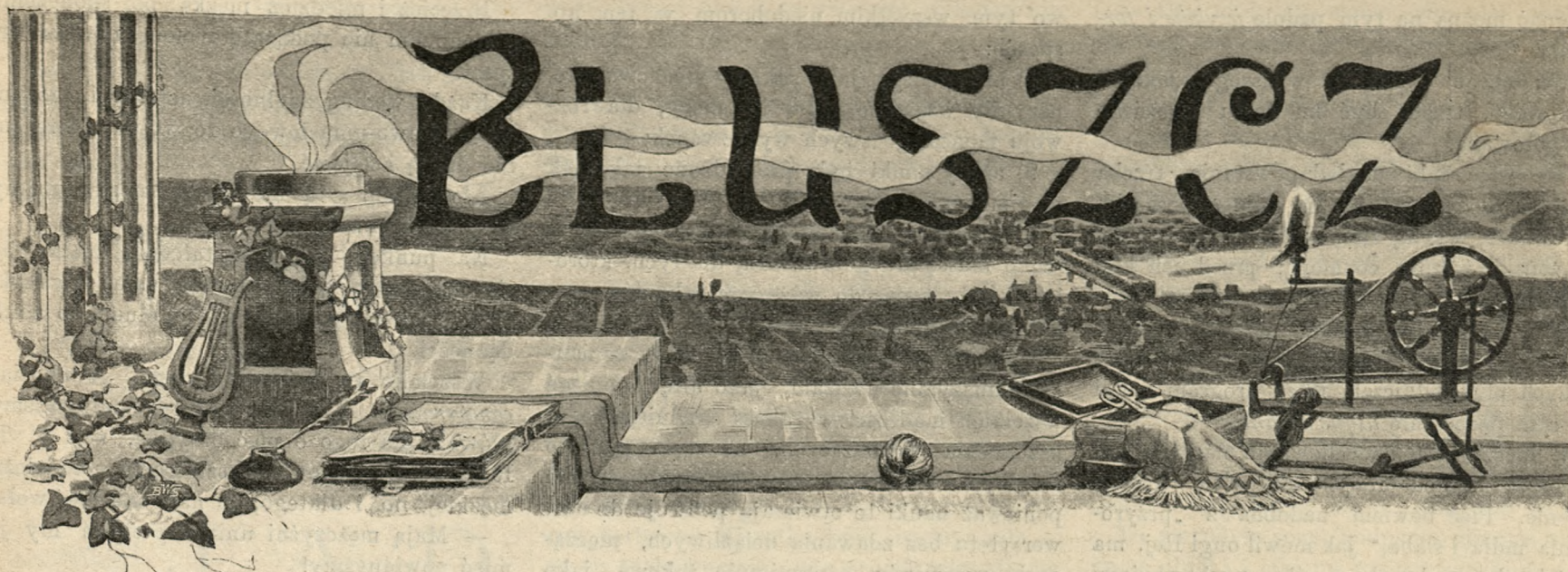




PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rub. 7 kop. 20; półrocznie rub. 3 kop. 60; kwartalnie rub. 1 kop. 80 miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rub. 2 kop. 50. rocznie rub. 10.
Cena numeru pojedynczego kop. 20.

Redaktor: Maryan Gawalewicz.

Wydawca: Piotr Laskauer.

Ekspedycja Główna przy ulicy Nowy-Swiat Nr. 41.

Ogłoszenia przyjmuje Administracja „Bluszcza” po kop. 15 za wiersz petitem lub za jego miejsce.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie zlr. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W Krakowie: u D. E. Friedleina: kwartalnie zlr. 2 cent. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim u Leitgebera i Spółk. kwart. 5 marek.

Wesołych Świąt życzymy wszystkim Czytelniczkom, współpracownikom i przyjaciółom „Bluszcza.”

Redakcja.

Od JE. ks. Arcybiskupa Warszawskiego Wincentego Popiela odbieramy pismo następujące:

Wojna jest wielką klęską, którą Opatrzność dopuszcza na ród ludzki, aby zwrócić jego myśli i serce do Boga, a zarazem rozbudzić wśród nas miłość i pieczę o tych, którzy życie i zdrowie swoje ponieśli na pole walki. Gdy zaś Bóg powołał mnie, abym był pasterzem Jego owiec, przeto na mnie przed innymi złożył tę Świętą powinność, abym w takiej chwili o ich najpoważniejszej potrzebie nie zapomniał. Powodowany tymi względami, zwróciłem się do władz Państwowych o pozwolenie wysłania na plac boju kapłanów, oraz oddziału sanitarnego. Otrzymaawszy je, obecnie przystępuję w Imię Boże do dzieła i przedsięwzięję zorganizowanie oddziału sanitarnego, złożonego z pięciu sióstr miłosierdzia św. Wincentego à Paulo, kapłana, dwóch lekarzy i odpowiedniej liczby sanitaryuszów, słowem całości samej w sobie, wymaganej do obsługiwaniania 25 łóżek, która podaży na miejsce przeznaczenia.

Czyniąc ten krok, nie wątpię na chwilę, iż znajdę oddźwięk w litościwych sercach, że w imię miłości bliźniego szczerobliwość ich pozwoli mi rozpoczęte dzieło do skutku doprowadzić. W tym celu uproszone zostały przeze mnie następujące osoby do zbierania ofiar:

1) JE. biskup Kaz. Ruskiewicz, suffragan warszawski; 2) Ksawery hr. Branicki; 3) ks. kanonik Z. Chęłmicki; 1) Włodzimierz ks.

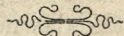
Czetwertyński; 5) p. Aleksander Feist; 6) prezes komitetu Towarzystwa Kredyt. Ziemińskiego Ludwik Górski; 7) p. Paweł Górski; 8) baron Leopold Kronenberg; 9) St. hr. Łubieński; 10) rejent Konstanty Mogilnicki z Łodzi; 11) p. Józef Ostrowski; 12) dyrektor J. A. Surzycki z Łodzi; 13) p. Jan Szlenker; 14) Maurycy hr. Zamoyski.

Ofiary te na moje lub na ich ręce, albo za łaskawem pośrednictwem pism składane, przelewane będą do Banku handlowego, z kąd czerpać będę osobiście fundusze na wysłanie kapłanów, zorganizowanie i utrzymywanie oddziału sanitarnego, oraz wyżywienie znajdujących się w nim chorych.

Dotąd na moje ręce wpłynęły ofiary w kwocie 62,000 rubli.

Składając szlachetnym ofiarodawcom z głębi pasterskiego serca płynące „Bóg zapłać”, resztę zdaję na błogosławieństwo Boże i wspólną pomoc dobrych ludzi.

† Wincenty Popiel.



LIST

z powodu artykułu p. t. „W ważnej sprawie.”



Że od najrańszej młodości mojej byłem nadzwyczajnym adoratorem płci pięknej i że teraz w największej z nią amicycyi pozostaję, każ-

da z łaskawych na mnie jejmości i jejmościarek przyzna.

Że p. T. R., autor artykułu „W ważnej sprawie”, zamieszczonego w numerze 9-ym niniejszego pisma jest również płci nadobnej przyjacielem, wieje to z każdego wyrazu powyższego artykułu.

Otóż, waszmość dobrodziej *amicus*, ja *amicus* porozumiejmy się więc co do tej „Ważnej sprawy.”

Dla tego słabego na pozór choć w gruncie silnego duchem niewieściego rodu, pragnę zawsze, czy to w salonie, czy na widowisku jak najpocześniejszego miejsca, jakżebym więc nie miał żądać takowego w dziedzinie nauki i nie pragnąć otwarcia podwoi wyższych zakładów naukowych lub nie dorzucić głosu o utworzenie u nas oddzielnego ku nauce płci nadobnej przybytku.

Ale...

W tej chwili przypomniła mi się bajka ś. p. biskupa Warmińskiego, w której powiada:

„Zanim zaczniemy biegać, nauczmy się chodzić.”

Ba, nasze panny i panienki pięknie, bardzo pięknie chodzić umieją, ale, jakby to powiedzieć?...

Oto pod względem *uczenia się* pierwsze kroki zaledwie stawiają.

Nie ich to wina,—nie zmienia to wszakże samej istoty rzeczy. Słusznie też powiedział *amicus* T. R., że uczą się wszystkiego, co

osiągnąć można na tym padole *języków i fortepianu*."

Otóż chcąc wejść do wyższego zakładu naukowego, trzeba być ku temu właściwie przygotowaną.

Nim więc taki zakład powstanie, trzeba w nauce naszych panien od samego początku zaprowadzić wielką zmianę. Wszystkie pensje żeńskie czynią, co mogą; przed ich kierowniczkami uchylam zawsze głowę, jako przed matkami duchowymi naszych panien, lecz cóż pomoże wszelki wysiłek ze strony zacnych przewodniczek, jeżeli program nauki ten sam pozostanie *usque ad finem*.

W fizycznym też wychowaniu naszych pieśszoszek trzeba radykalnie wiele rzeczy zmienić. Płeć bowiem nadobna z „przyrodzenia mdła i słaba," jak mówił ongi Rej, ma snąć bardzo nadwątłone siły wychowaniem, jeżeli po 3-ch lub 4-ch latach nauki pensjonarskiej,—ba nawet domowej, wpada w anemię, rozstrój nerwowy i musi przerwać rozpoczęte studia, nawet „na tym padole języków i fortepianu."

Co dopiero mówić o wyższym zakładzie naukowym.

Zaledwie 3% panien kończy pensję,—brak sił nie pozwala im dobieść do końca.

Z tych właśnie nie *mogących dobieść* najwięcej jest aspirantek do wyższych zakładów naukowych.

Z tych, co kończą pensję nawet z odznaczeniem, przez rok przynajmniej przed wstąpieniem na uniwersytet, a choćby na jakieś wyższe kursa, muszą się jeszcze doskonale przygotowywać.

Więc pensja taka, jaką dziś jest, nie daje dostatecznego rozwinięcia umysłowego i dostatecznych wiadomości, choćby takich, jakie wynosi młodzieniec po skończeniu 7-u czy 8-u klas gimnazjalnych.

Więc przyjacielu T. R. jak myślicie, czy byśmy się nie zgodzili na zarządzenie chwilo-

wo tym wszystkim niedoborom w ten np. sposób:

1) aby pensje, jako zakłady wychowawcze, uczyniły wszystko, co w ich mocy, dla rozwoju fizycznego swych wychowanek;

2) ażeby nauki były prowadzone tak, jak w gimnazyach męzkich;

3) żeby przy teraźniejszych pensjach otworzono klasę przygotowawczą dla tych, któreby chciały wejść do wyższych zakładów naukowych *alias* uniwersytetu.

Niech mnie nikt nie pomawia o to, że nauki gimnazjalne uważam, jako alfę i omegę wszelkich mądrości w zakres średniego wykształcenia wchodzących,—na tym punkcie mógłbym całe morze atramentu wypisać, ale ponieważ nauki te otwierają podwoje do uniwersytetu bez zdawania uciążliwych, męczących egzaminów,—przyjmuję takowe, jako *malum necessarium*.

Wiem, że to wszystko, co wypisałem nie jest na razie w mocy zacnych przełożonych pensji, lecz ich wytrwałe, pełne poświęcenia dusze, potrafią coś w tym kierunku wymyślić i spełnić choć w części aspiracje naszych panien do wyższego wykształcenia.

Na tym punkcie wszakże trzeba nam się nieco porozumieć.

Że między płcią nadobną jest wielka skłonność do nauki,—nie przeczę.

Aleć i tę naukę trzeba jakoś rozsegregować.

Nie wszystkim przecie przyrodzone zdolności pozwalają wejść na najwyższy jej szczebel.

Przecie i świątynia Bellusa miała rozmaite swe stopnie i wchodzenie na takowe oznaczało wśród mądrości assyryjsko-babilońskiej osiągnięcie pewnej miary wykształcenia.

Jeżeliż więc starożytni pojmowali tę miarę, jakże osoby żyjące w XX w. ery Chrystusowej nie miałyby jej do swoich potrzeb duchowo-umysłowych stosować?

Przecież i młodzież męzka po skończeniu gimnazjum nie podąży hurmem na uniwersytet.

Każdy według zdolności, aspiracji, możliwości duchowo-umysłowego rozwoju, obiera sobie drogę i zajęcie.

Ale to tam z tą młodzieżą męzką mamy inny porachunek.

Na punkcie jej wykształcenia znalazłoby się nie jedno „ale", nawet całe dziesiątki „ale," jak na punkcie ich ogólnej do nauk dążności.

Wszelako to znów co innego. A chociaż *comparaison n'est pas raison*, potraciliśmy głównie dla tego o płęć brzydką, że i p. T. R. powołuje się na wykształcenie młodzieży męskiej, no, i dlatego, że nadobna płęć woła:

— Mają mężczyźni uniwersytety i my je mieć powinniśmy!

Powinniście, możecie mieć, ani słowa — nikt wam tego nie zaprzecza.

Ktoby śmiał, ja pierwszy, choć stary, z podniesioną przyłbicą za wasze prawa do nauki do upadłego walczyć będę.

Jeno najmiłsze ozdoby naszego życia zawsze pomniście przestrożę s. p. waszego wielbiciela, Umizgalskim zwanego, o tem bieganiu i chodzeniu.

Rzewnemi też każdą opłakiwać będę łzami, co się porwie do wyższej nauki i doznawszy zawodu ze strony swych zdolności, wróci z pół drogi zniechęcona i rozgoryczona do świata, jak oto opłakuje moją młodziutką sąsiadeczkę, co powróciwszy z jakichś tam nie wiem już gdzie, pobieranych nauk, nie może się przystosować do codziennych, prawda nudnych, wiejskich domowych zajęć i zromansem francuskim czy angielskim w ręku cały dzień w utęsknieniu przepędza.

Choruje też biedactwo na melancholię, a bodaj czy i Panie odpuść, w hysteryę nie wpadnie!

Myśmy tak ubodzy pod każdym względem

PRZY KOMINKU.

(Pogawędka).



Kraków, Lwów, Wiedeń, Zakopane — oto o czem w tej chwili mógłbym pisać. Prawda, że przestrzeń tę od Warszawy przeleciałem pociągiem błyskawicznym i nigdzie długo miejsca nie zagrzałem, lecz nie o zwiedzenie znajomych mi dobrze miejsc chodziło, tylko o oderwanie się od spraw codziennego życia, o rozerwanie myśli, obracającej się w jednym i tem samym kółku, o ruch jakiś, pęd jakiś, o zmianę nie tak ludzi, jak obrazów natury, w które tak ubogą jest nasza Warszawa i otaczające ją równiny piasków mazowieckich. Kto we dwa krótkie tygodnie przeleciał przestrzeń tak znaczną, ten nie miał na myśli żadnych towarzyskich rozrywek; wprowadzie to tu, to tam, na ulicy pierwszego lepszego miasta, albo wśród zasp Tatrzańskich spotkało się niespodzianie jakiegoś dawnego znajomego, niewidzianego czasami od lat X., lecz spotkanie owo kończyło się na krótkiej

wymianie słów: „A dokąd? a zkad? ot, niespodzianka, traf!" — i dalej w obieg po miejscach znajomych, albo na kolej — i w świat. W Krakowie pokłoniło się Wawelowi prastaremu; z wyżyn Kahlenbergu grzmot jakiś doleciał — zabrzmiało imię Jan... i cisza, której żaden krzyk duszy już nie przerwał. I ani opamiętał się człek, jak się znalazł u stóp skalistych Tatr, jak na szczycie Giewontu powitał go krzyż żelazny, rozparty na chmurach, szeroko, daleko ramiona swoje rozciągający.

Balwaniły się chmury, w uścisk swój biorąc ostre turnie Tatrzańskie. Z obłoków wykroił się księżyc i niepewny, złotawy blask rzucił na białą pościel śniegów. Dawno nie byłem w Tatrach, tak dawno, że prawie obce by były mi powinny, bo kiedym był, to wówczas Zakopane doskonale odpowiadało nazwie swojej, nie miało willi, ni noclegów wygodnych, musiałeś przespąć się w pierwszej lepszej chacie góralskiej, żętycę popijać, głód zaspakajać chlebem owsianym, źródlaną wodą pragnienie ugasić. Dziś odkopali je ludzie, zrobili deptak europejski, wypchali wygodami. Dwukonne dorożki suną się po szerokich ulicach, dzwonki elektryczne dzwonią

w gospodach, sprężynowe materace do snu cię lulają. Wygodnie — to prawda!.. ale jest *tak samo*, jak wszędzie. I oto *tożsamość* nużąca się już staje. Ku szczytom mimowoli wzrok się obraca, ciche pytanie wybiega z ust:

— A jakże tam w głębiach waszych?

Rozpoznaję oddawna niewidziane szczyty. Dwuzębny Giewont wydał kamienną pierś, przepaścisty, ostry, niedozwalający zwałom śniegowym zatrzymać się na sobie. Zmiata je wiatr, turnie strząsają z siebie biel śnieżną; czerwonymi patrzy głazami dumny, potężny, jeno uginać się zdaje pod tym krzyżem żelaznym, na barkach jego wzniesionym. Po za nim ukrywa się „Czerwony Wierch," wyższy od Giewontu, lecz nie ma skał przepaścistych, grzbietu zszarpanego, kamienistą nie jeży się turnią; ma podobieństwo do kopyły olbrzymiej bizantyńskiej świątyni, wygodne leże dla śniegów; więc się świeci białą puszystą, niepokalaną dziewiczą, i dziwnie wygląda od otoczenia skalistego, niby stół biesiadny, białym obrusem zasłany, do którego wnet zasiadą ostre turnie Tatrzańskie, z płaszcza chmur rozbierające się w tej chwili.

a tak nam potrzeba zdrowych fizycznie i moralnie niewiast.

Uczcież się więc jak najwięcej i jak najpilniej najmilsze ozdoby naszego żywota, ale uczcie się rozumnie ze świadomością o zdobytej nauce.

Tego Wam życzy i oto Was z całego serca prosi najszczerzy

Wasz wielbiciel

Zręda.



Maryan Gawalewicz. <—

J A D.

POWIEŚĆ.



(Ciąg dalszy).

II.

— Czy wie pani, zkąd wracam?... od nich!... Nie mogłam wytrzymać; musiałam pojechać wbrew etykiecie, formom, zwyczajom, i t. d., musiałam ich zobaczyć. *C'était plus fort, que moi!*... Niech się pani za bardzo nie gorszy, ale zrobiłam to jako matka panny młodej, więc ciekawsza z natury od matki pana młodego. Dzień dobry pani!... nawet się z panią nie przywitałam!

Z temi słowy stanęła w pokoju Tanieckiej pani Lina Dobrojewska, nie zdążywszy zamknąć drzwi od kurytarza na pierwszym piętrze Hotelu Europejskiego, w którym matka Henryka zamieszkała na czas uroczystości weselnych.

— No i cóż pani na to?... widziałam ich!

Mówiła to takim tonem, jak gdyby jej się udało zobaczyć jakąś nadzwyczajną osobli-

wość, której nawet za biletami oglądać nie można.

Formalnie chwaliła się z tej wizyty, do której przecież z tytułu macierzyństwa swego miała zupełne prawo, ale jako kobieta światowa, pod wpływem konwenansów towarzyskich, nawet względem córki i zięcia gotowa była trzymać się przepisów „savoir-vivre'u,” dla osób dobrze urodzonych.

— Zaszłam do nich już około godziny czwartej — opowiadała Tanieckiej z przejęciem prawdziwej „mondain'y,” która na zebraniu w saloniku wytwornej przyjaciółki, zabiera się do wysypania całej torby najświeższych nowości i pikantnych „on dit,” w celu zabawienia towarzystwa. — Wyobraź pani sobie, zastałam ich dopiero przy pierwszej herbacie! Miszetka była trochę blada, — no co to dziwnego!... ona się tak wszystkim przejmuję, aż zanadto, — ale wyglądała prześlicznie, jak marzenie, cudo, powiadam pani!... Miała na sobie po raz pierwszy ten szlafroczek z kremowymi koronkami, brodé z przodu, pamięta pani?... nie ten swój, który sobie sama wybrała, tylko ten, który ja jej skomponowałam do spółki z Hersem, i przyznam się pani, że mi to było bardzo przyjemnie widzieć Miszetkę w moim własnie szlafroczku przy tem pierwszym śniadaniu z mężem.

Coś, jakby słodkie wzruszenie zmiękczyło głos czulej mamam przy tych słowach, bo — jak mówiła dalej:

— Może to tylko przypadek, a może właśnie bardzo delikatna *obligeance* ze strony Miszety dla mnie, w każdym razie, *vous comprenez Madame*, w takiej chwili to dla matki bardzo, bardzo ujmujące!... Ja nawet z tego wyciągnęłam zaraz pomyslny horoskop na przyszłość.

Taniecka uśmiechnęła się nieznacznie.

— Ze szlafrocza córki?... — spytała, — dla kogo?

— Dla niej, dla siebie, dla nich obojga, dla nas wszystkich!... ja przecież wiem to dobrze, że *robe de chambre* nie stanowi szczęścia kobiety; można być bardzo szczęśliwą w pożyciu małżeńskim bez szlafroka, ale w ładnym szlafroczku szczęśliwej mężateczce jakoś lepiej do twarzy, nieprawda?... Powiadam drogiej pani, Miszetka wydała mi się dzisiaj zachwycającą i chociaż nie powinienabym tego mówić, bo to nie wypada unosić się nad własną córką, ale doprawdy napatrzyć się jej nie mogłam!

— Jakże się czuje?

Dobrojewska nie zauważyła tego zapytania i terkotała z wdziękiem dalej:

— Henryk miał też cały czas oczy wlepione w nią, jak w obraz. Ach, wie pani?... Tu zmrużyła oczy, podparła okrągłą brodkę na dłoni i z jakimś rozmarzeniem westchnęła, a po chwili dodała:

— Wie pani, tak mi to dzisiaj przypomniało ten mój pierwszy poranek poślubny, jakbym widziała siebie i mego nieboszczyka męża przy tej herbacie... we dwoje... na własnym gospodarstwie. Pamiętam, że było mi tak jakoś dziwnie... nie śmiałam oczu podnieść na niego, nie wiedziałam, o czym mam rozmawiać i tylko mi się chwilami okropnie śmiać chciało, gdy pomyślałam, że ani mamy, ani papy, ani mojej Madame nie było przy nas.

Bo ja wychodząc za męża, byłam jeszcze istne gąsiątko; ledwie co długą suknię wdziałam na siebie. To nie dobrze tak młodo iść do ołtarza!... — Zapewne; nie jest się jeszcze dojrzałą ani fizycznie, ani duchowo, — wtrąciła Taniecka, ale Dobrojewska zrobiła gest zaprzeczający głową i westchnęła powtórnie:

— Ach, nie!... nie dlatego, droga pani.

— A dlaczegóż jeszcze?

— Dlatego, że kiedy kobieta potem utraci przypadkiem męża i zostanie wdową, jak np. ja, a ma już dorosłą córkę, zanim się sama

Biegnę oczyma ze szczytów na szczyty, po tylu latach niewidzenia rozpoznaję wszystkie. Oto ruchomy Zawrat, oto Świnnica!... Miałem dziewiętnasty rok życia, gdy po raz pierwszy wydostał się na jej szczyt karkołomny. Byłem czwarty z rzędu (jeżeli mnie pamięć nie myli), który zwyciężkim okrzykiem powitał Tatry, z tej wówczas najwyższej góry w Tatrach polskich. Pierwszym był ks. Janota, drugim znany przewodnik Sieczka, trzecim Walery Eljasz, czwartym — ja. Z niedowierzaniem dziś patrzę na ten szczyt wspaniały, na który dzisiaj wejśćbym się już nie ośmielił. Ba! dziewiętnaście lat się miało, orlą siłę, orle pragnienia!... Hej, młodości! dlaczego tak szybko uciekasz, tak niepowstrzymanie, tak bezpowrotnie giniesz?... Nie mogłem oczu oderwać od tego kamienistego szczytu — coś rwało się i łkało w piersi mojej... Marzyłem — że o tobie, szczycie skalisty, czy o tej sile, która mnie na wierzchołek twój gnała?... — Jakże tam w głębiach waszych? — biegło pytanie.

— Zgwałciłeś chęć niepokalaną moją — odpowiedziała góra. — Oto kamienną tę pierś po-

ryją, żelaznemi szynami opaszą, zębate koła, poruszane siłą pary, żółto-zielone wozy na grzbiet mój wytoczą; gwizd lokomotywy przerwie odwieczną Tatr ciszę, przerwie sen orłów w gniazdach skalnych. Ze szczytu mój będziesz podziwiał ogrom gór, wybierając, w przerwie zachwytów, menu obiadowe, wahając się pomiędzy sznycem wiedeńskim a befsztykiem z młodeimi kartoflami.

— Tak, panie! — jakby domysłając się milczącej rozmowy mojej ze szczytem Świnicy, rzucił mi w ucho pewien stały mieszkaniak Zakopanego; — maluczko, a wagonikami na szczyk ten pojedziemy sobie, bez trudu żadnego, fatygi żadnej, niebezpieczeństwa zawrotu głowy, albo, co gorsza, poślizgnięcia się i upadku. Powoli cywilizacja i do naszych zawita Tatr, potworzymy drogi, pobudujemy austerye — słowem, Europa będzie, panie kochany, Europa!...

Musiałem przyznać słuszność nieproszonemu interlokutorowi mojemu. Europa będzie!... Musiałem przyznać słuszność. Trudno być barbarzyńcą i nie chcieć Europy, choć chciałoby się te Tatry w niepokalanej dziewiczości ich zostawić, mieć jeden, jedyny zakątek

w tej Europie, gdzieby wszechwładztwo swoje wszechpotężna, rozciągała przyroda, według swojej fantazyi budowała i waliła skały, zakładała gniazda orle, oprzędzała się ciszą, bez trwogi, że ją zmąci gwizd lokomotywy; gdzieby sama była panią w królestwie swoim, piorunami ryła ścieżki dla śmiałych stóp podróżników; opłatywała je splotami powojów dzikich, zmuszała śmiałków do odwagi i walki, groziła przepaściami, wynagradzała trudów zwycięstwo czarem swej dziewiczej piękności, gdzieby ta przyroda dokonywała według swej myśli dzieł olbrzymich i olbrzymio pięknych, niepsuta dotknięciem ręki ludzkiej, która nad szablon nie już innego zbudować nie potrafi; gdzieby zresztą wzrok ludzki mógł odwrócić się od przedmiotów tak dobrze, aż do znudzenia mu znanych, albo zapomnieć o głosach wciąż słyszanych, myśl bujać samotnie i łączyć się tylko z królewską myślą natury, dziką, nieokiełznaną, piękną tą dzikością i niedostępnością. Wolę, gdy wodospad po dzikich głazach pędzi, gdy z biciem serca zbliżam się do niego po przepaściach i skałach urwistych, niżbym wygodnym powozem dojechał do niego i z kamiennego

zestarzeje, to... to... znaleźć się może w bardzo niemiłej sytuacji i musi... musi za weześnie abdykować.

Roześmiała się niby z humorem, ale pod tą przybraną wesołością drżała nuta jakby melancholii i ukrytego żalu; w głębi duszy miała urazę do losu, że jej kazał nosić wdowie szaty i nie pozwolił w powtórnym małżeństwie poszukać sobie pocieszenia po stracie pierwszego męża.

Taniecka roześmiała się również, ale raczej przez grzeczność, bo jej ta szczerłość zanadto swobodną i jakby cyniczną się wydawała.

— Przyznam się pani, że mi to nigdy na myśl nie przyszło — rzekła; — od czasu, gdy zostałam matką i gdy mi Pan Bóg dał syna, zapomniałam z każdym rokiem coraz więcej o świecie i o sobie. Później, kiedy nas nagle taki straszny cios dotknął i kiedy Henryk stracił najlepszego ojca, a ja najgodniejszego męża, wtedy już po za moim dzieckiem nie widziałam ani żadnego celu, ani żadnej przyjemności, ani żadnej ambicji w życiu. Mój syn stał się dla mnie wszystkim! przestałam być kobietą, — dodała ciszej z uśmiechem, który wyszlachetnił jeszcze bardziej jej rysy, — a zostałam tylko matką!

Dobrojewska z komiczną rozpaczą wybuchnęła:

— Tak, matką, ale nie babką!...

— Nie rozumiem... przecież i pani jeszcze tego tytułu nie używa.

— Ach, droga pani, jeszcze nie, ale od dziś za rok obie będziemy zapewne piastowały jakiego wnuka, albo wnuczkę, a wtedy..

Twarz jej przybrała wyraz zaleźnienia i z troskania na samą myśl o tej ewentualności, która skazywała przedwczesną wdowę na powtórny abdykację ze wszystkich pretensji do świata.

To przypuszczenie, ta niemal pewność, już dzisiaj na drugi dzień zaledwie po ślubie córki, niby zmora zaczynała trapić mamą Dobrojewską, zbyt dobrze zakonserwowaną, zanadto młodą jeszcze, aby wyrzec się miłości własnej i praw do życia, których córka nie mogła nigdy kwestyonować w tak zwanym „świecie“, ale którym wnuk nakładał pewne ograniczenia, choćby już w samej nazwie babki zawarte.

— To okropne, to straszne! — biadała na prawdę zmartwiona i ściskając za rękę towarzyszkę niedoli, pytała ją, jakby ze współczuciem:

— I pani sobie z tego nic nie robi? to pani będzie zupełnie obojętna? *Dites donc franchement, Madame!*... na seryo nie boi się pani zostać babką tak wcześnie?

Tanieckiej ta zakłopotana mina i te wystraszone oczy wydały się śmieszne dopiero teraz, a zapytanie naiwne zupełnie.

— Ależ nieczego bardziej nie pragnę dla ich szczęścia, jak dziecka, — odparła, — jednak zdaje mi się, że tę kwestję możemy zostawić jeszcze na boku. Ot, lepiej niech mi pani opowie co o Misi i Henryku!... Spodziewałam się ich wpierw u siebie; przynajmniej jego samego, jutro lub pojutrze.

Dobrojewskiej znowu się twarz rozpogodziła na wspomnienie córki w szlafrocisku z kremowymi koronkami, więc powracając do dawnego tematu, mówiła:

— Zostałam ich pływających w całej sadzawce miodu i ambrozji! Henryk o ile to jest jeszcze możliwym, miał minę jeszcze bardziej zakochanego i tak szczęśliwego, jak gdyby w raju spotkały go jeszcze niespodzianki, wcale nie przewidywane.

Rzuciła się na fotel i rozpinając na piersiach swój pluszowy żakiet wcięty do stanu, zawołała:

— Uwierzy pani, że oni sobie formalnie

nie ze mnie nie robili!... zupełnie, jakby chwilami zapominali o mojej obecności. Ale ja im to wybaczyłam!... kochane dzieci, przecie to najpiękniejsze chwile w ich pożyciu małżeńskim.

Taniecka złożyła ręce, jak do modlitwy i oparła na nich czoło, porysowane już zmarszczkami.

— Dlatego należało zostawić im ten dzień niepodzielnie, — szepnęła niby do siebie.

— Ja też zaledwie kwadransik tam zabawiłam, — tłumaczyła się Dobrojewska; — teraz będę oczekiwała dopiero ich oficjalnej wizyty. Przyznam się pani zresztą, że muszę wypocząć; kto wie, czy nie wyjadę nawet na parę tygodni zagranicę. Za dużo emocji!... za dużo, prawda?

Nie chciała uchodzić za egoistkę, myśląc tylko o sobie; nachyliła się ku Tanieckiej i ściskając ją, dodała:

— O, i pani należy się teraz chwila wytchnienia!... zapewne wróci pani do Miłoszkowic w tych dniach, prawda?... Syna ożenić, to ciężkie, uciążliwe raczej zadanie, ale córkę wydawać za męża, to stokroć większy kłopot i zachodu o wiele więcej.

Rozwinęła misterne lusterko, które jako brelok wisiało z rozmaitemi drobniactwami przy jej pasku i przejrzała się w niem.

— Muszę dziś bardzo mizernie wyglądać?... prawda?... oczy mam podkrążone, jakbym sama za męża wyszła! — mówiła, śmiejąc się, — ale nie mogłam ze znużenia zasnąć do rana.

Zaczęła jej opowiadać potem o różnych drobnych kłopotach i przykrościach, jakie miała z powodu wczorajszego wesela, z kucharzem, ze służbą, z powozami, które miały odwozić gości, z kluczykami od garderoby, które panna służąca gdzieś zapodziała, skutkiem czego, po powrocie od Henryków nie mogła rozebrać się od razu; miesza-

mostu, oparty o bezpieczną balustradę, piękność jego podziwiał.

Niby jest to samo, a jednak — a jednak brak jest nagrody po trudach poniesionych, tego niewymownego czaru — zwycięstwa. Zapewne, dowcipniś mógłby powiedzieć: a któż ci broni na łeb na szyję po kozich ścieżkach iść? Zobaczmy ten sam wodospad: ja z wygodnego mostu, ty — tak samo, z dodaniem tylko uroku... niebezpieczeństwa. A jednak nie masz słuszności, dowcipnisiu! Urok polega na tem, że bez trudu czy niebezpieczeństwa — *nie ujrzyś* wodospadu. I w życiu bywa tak samo: słodszy ci jest chleb zapracowany, niż z nosa spadły — marcepan. I urok życia cały polega na walce z niem i — zwycięstwem. Walczący nie znają przesytu, nudy i zniechęcenia. Podtrzymuje ich ciągłość zwycięstw, nie rozkoszne wylegiwanie się na darowanych pierzynach. Ale barbarzyńcą jestem — i tylko winszuję sobie, że poznałem Tatry, gdy nie miały dróg bitych; musiało się spać tam, gdzie noc zaskoczyła: w opuszczonym szałasie, na odłamie kamienia, zbitej warstwie śniegu!.. a z menu do wyboru było: żętyca, ser i placek owsiany.

I oto po raz drugi barbarzyńca ze mnie

wylezie, bo czyż będąc w Zakopanem, nie było moim obowiązkiem odwiedzenie Witkiewicza, przyjrzenie się zakopiańskiemu stylowi, u źródła zaczerpnięcie o nim wiadomości różnych? Wyznaję, że przed Witkiewiczem przysłoby moje barbarzyństwo — do zobaczenia się jednak z nim przeszkodziła mi krótkość czasu, bo jeden dzień tylko w Zakopanem bawić mogłem, a dzień ten poświęciłem samotnemu wałęsaniu się po Tatrach. Więc zaledwie świt niebo pobielił, ruszyłem sankami do Morskiego-Oka, do tej żrenicy Tatr, którą nam bratankowie Węgrzy tak niedawno wydrzeć chcieli.

Droga bita, szeroka, wygodna, dawała nadzieję szybkiego dotarcia do czarodziejskiego jeziora i powrotu szybkiego, tak, że mógłbym jeszcze przed wieczorem do Zakopanego powrócić i w pas się pokłonić autorowi „Na przyleczy.“ Z Tatrami jednak nie przelewki. Im wyżej w góry, tem śniegu coraz więcej. Do Wodogrzmotów, według nazwy góralskiej, a według nowej nomenklatury, do wodospadów Mickiewicza — wcale dobra była sanna, lecz o krok dalej już śniegi tak zaważyły drogę, że koń góralski stanowczo posłuszeństwa odmówił, bo w śnieżnym puchu

po brzuch zapadał, wreszcie, znać mruknąwszy sobie: nie głupim! zakopał się w śnieg i ruszyć dalej wcale nie myślał. Rad nie rad, a powiem, że rad byłem, — ruszyłem na piechotę do Morskiego-Oka, tak samo, jak koń góralski, zapadając w zaspach śniegowych, lepiej jeno nad niego przenosząc trudy podróży. Bądź co bądź, chciałem być przy Morskiem-Oku sam jeden, w otoczeniu gór niebotycznych, owiany niezamąconą ciszą, nie widząc twarzy ludzkiej, dymów ludzkich siedzib, nie będąc zmuszony do odpowiedzi i pytań. U stóp Rysów, nad brzegiem jeziora, mając tylko słońce i błękit nad sobą, lśniące śniegi, ciszę skał, — tam, gdzie panują tylko Bóg i natura — chciałem jedną i drugą godzinę przeżyć, popuścić wodze niczem nieskrępowanej fantazji, o latach dawnych marzyć, szukać śladu stóp własnych na tych szczytach niebosiężnych, módz upieścić słuch tajemniczym grzmiotem lawiny, szmerem potoku, który wyrwał się z żelaznych oków lodu i silny, wolny, w pył się rozbija, skacząc do przepaści Czarne-Stawu.

Zapadając po szyję w śniegi, walczyłem z miękką przeszkodą i posuwałem się naprzód. Rysy wyolbrzymiały, zabielał szczyt Mięgu-

ła swoim zwyczajem rzeczy najblahsze z poważnemi, przeskakiwała z przedmiotu na przedmiot, zadawała jednocześnie dziesięć pytań Tanieckiej, nie czekając na żadną odpowiedź, śmiała się i wzdychała na przemian, a w końcu spojrzawszy na zegarek, zerwała się na równe nogi, wołając:

— Co ja robię!... przecież to już w pół do szóstej!... a na piątą zamówiło się do mnie kilka osób. Takie zupełnie intymne koleczko najbliższych, którzy przyjdą pocieszać opuszczoną matkę. No, uciekam!... nie wybierze się pani do mnie dzisiaj wieczorem?... na herbatę, dobrze?... Będziemy rozmawiały o szczęściu naszych dzieci!

Taniecka wymówiła się bólem głowy i potrzebą wypoczynku.

— Nasze dzieci postarają się same o to, aby były szczęśliwe,—rzekła.

— O będą, będą!—zapewniała ją Dobrojewska.—Po tem, jak ich dziś zastałam przy herbacie, widzę dopiero, jaka z nich dobra na para.

— Dałby Bóg!

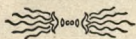
— Dlaczego by dać nie miał!.. mają przecież wszystko, co do szczęścia potrzeba. Młodość, majątek, zdrowie, no i kochają się.

— To najważniejsze.

— Zapewne, ale i tamto się przyda do miłości.

Pożegnała się szybko i wybiegła.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Zmartwychwstanie.



I.

Zachód sływa czerwony

W ciszę najgłębszą z ciszą...

Pan — do grobu złożony...

Próżny tkwi krzyż!...

W całunu skryta chusty,

Noc — lęka się przejść próg

Świata — co zda się pusty...

W Grób złożon — Bóg!

Serce szarpie tęsknota,

Łez gorzkich płynie zdrój...

O żalosna Golgota!

W Grobie — Pan mój!

II.

Pójdę wysoko — na dzwonnice,
Gdy słońce zejdzie z nieboskłonu,
I palające moje lice
Przyłożę tam — do serca dzwonu.

I słuchać będę w nocną ciszę,
W ciszę — co listkiem nie szeleści,
Czy tam — zdaleka — nie usłyszę
Echa radosnej — dobrej wieści?

Lękam się, boję, drzę i trwożę,
Jako obłędny ptak zraiony,
Czy czas uderzyć — Wielki Boże,
W radości wielkiej srebrne dzwony?

W tryumfu rozbrzmieć się akorda,
Rozpłynąć się w kadzidel dymie,
Czy spiewać chórem: „Sursum corda!”
Błogosławione — Pańskie Imię!

III.

Udercie wszystkie dzwony
Na znak on — wielki dan,
Zmartwychwstał Umęczony
Mój Bóg — mój Pan!

Niech dzwonów zabrzmia hymny,
Tu koniec łez i trwóg...
Opuścił Grób ów zimny
Mój Pan — mój Bóg!

W północnej cichej dobie
Serafów złoty chór
Roztoczył Mu przy Grobie
Plaszcz białych piór.

Skrzydeł śnieżystych puchy
Do bladych Pana stóp
Zchylili jasne duchy...
Pan rzucił — Grób!

I cicho w przestrzeń płynie
Wpatrzony w Niebo On!...
Ach — w wielkiej tej godzinie
Udercie w dzwon!

W bezbrzeżnej Swej Miłości
Nie szczędził nam Krwi, Ran!
Chwała na Wysokości!
Zmartwychwstał Pan!

Bożymir.



Z obrządków i zwyczajów starodawnych.



GAIK.

— Gaik jestem z gaju, pięknie ustrojony,
Wygнали mnie z raju, przychodzę w te strony,
Przychodzę z kogutkiem, co ma lśniące pióra
Dajcież placka z jajcem, i co tam ma która!

Z taką pieśnią chłopcy ustroiwszy drewnianego koguta i drażki w strzępki kolorowych szmatek i papierów, obchodzą w drugie święto Wielkiejnocy dwory i chaty.

Prócz powyższej, dużo jest pieśni zastosowanych do danej chwili, i zebranych dziewcząt, wszystkie zaś kończą się przymówką o datek.

szowiecki, z załomu Mních wyjrzał z tym samym kapturem na głowie, brodą rozwianą o wielkiej, kamiennej głowie. Góry się zbiegły, zcieśniły, tworząc kotlinę, w której kryły zazdrośnie perlę Tatr. To tam, już niedaleko... trzysta, dwieście, sto kroków...

— A co to?...

Błysnęło domostwo jakieś przed Morskiem-Okciem stojące.

Znowu Europa!...

Ale opuszczone być musi, dokoła śniegi; któżby w takim przestworzu mieszkał i mącił spokój samotnika? Prawdopodobnie to jakieś schronienie letnie dla odwiedzających tę część Tatr, schronisko przed burzą, deszczem, dla bojących się deszczu i burzy. Szpeci trochę ta buda drewniana ten zakątek Tatrzański, ale ominę ją, bokiem obejść, przed sobą będę miał tylko skaliste turnie Rysów, potok jakiś rozpryskujący się w dym biały nad Czarnym Stawem, kamienną pierś Mniha i ciszę, ciszę, ciszę...

Rzuciłem się na miękki puch śniegu i oddałem się marzeniom. Poczucie samotności napełniało mnie rozkoszą: niebo, góry i ja — oto trójca wchłaniająca się wzajemnie.

Nagle posłyszałem za sobą delikatne skrzy-

piecie śniegu. Pewnie sarna, których widziałem tyle podczas podróży, chód swój ostrożny kieruje w stronę moją. Nie ruszam się, nie daję znaku życia. Zbliży się śliczne, niewinne stworzenie, nie przeszkodziś marzeniom moim, dopełnieniem może ich będziesz... Śnieg przestał skrzypieć. Chwila oczekiwania — i tuż poza mną dźwięk głosu ludzkiego:

— Może pan dobrodziej pozwoli piwa?...

Zerwałem się na równe nogi.

— Niech się pan dobrodziej nie boi i ze chce do mnie zajść. Mieszkam w tym domu nad Morskiem. Mam piwo, herbatę, wódkę. — Proszę do chaty. Goście do mnie zachodzą zawsze. — Niedawno cała kompania była, panowie i panny, pili na umór, aż szyby wszystkie w oknach powybijali. Mam do sądu pójść i szkody swojej dochodzić. Proszę, bardzo proszę do chaty — tam lepiej na ławie, niż w śniegu, a zawsze i zagadać do kogo będzie.

— Wybacz pan...

— Jestem były technik... Niestety tylko różne do tej chałupy mnie sprowadziły... Jest piwo, wódka — niech się pan nie boi!

— Ależ ja się niczego nie boję, do stu ty-

sięcy dyabłów!... Tylko, że nawet tutaj bez piwa i wódki obejść się nie można.

Samotność moja była przerwana. Były technik, a muszę dodać, że cięty trochę, czuł się w obowiązku bawienia mnie konwersacją, do której wcale ochoty nie miałem, od której wybrałem się aż w góry dalekie. Zanim wróciłem do Wodospadów Mickiewicza, przy których mój góral ogień nałożył i wodę do herbaty zagotował — słońce za góry się skryło i powoli cienie wieczoru opadać zaczęły. Późną nocą wróciłem do Zakopanego, nie pokłoniwszy się nikomu ze znajomych, bo i Żeromski, i Jan Grzegorzewski bawili wówczas — i możeby jeszcze parę osób znanych znalazło się. Nazajutrz rano opuściłem Tatrę, ciche zawsze, piękne i majestatyczne.

Z wozu na wóz przelatałem dwa tygodnie. Nie mogąc roztopić się w ciszy tatrzańskiej, oszołamiałem się gwarem podróży. Nic nie wiem, co się dzieje na bruku warszawskim — więc przywiozłem wam trochę wrażeń z bezładnej podróży mojej, trochę smutku, trochę żalu, trochę barbarzyństwa mojego, wyrzekającego na wszędzie pchającą się Europę!

Kazimierz Gliński.

Najcharakterystyczniejszą i największą bodaj dawność mającą, jest następująca:

— Gaiku, gaiku, — gaiku zielony,
Przez dziadów brodatych ze wszech stron strzeżony,
Bo w tobie kogutek siedzi uchowany,
W pozłociste piórka pięknie malowany.
Z gaiku dziś wyszedł, wchodzi na podwórko,
Wydzień gospodyni z synami i córką,
Wynieście nam piwa, jajców i mięsiwa,
A za to wam kurek piosenki zaśpiewa.

Zwrotka o gaiku, strzeżonym przez brodatych dziadów, jeszcze więcej uzasadnia mniemanie, że „Gaik“ bierze swój początek z pogańskich czasów, z których przechowało się podanie o dziadach brodatych, strzegących skarbów w lasach, a będących na usługi bogów w onychże zamieszkałych.

Według podań, Słowianie z chwilą rozbudzenia się wiosny wychodzili na uroczyska, zabierając gotowane jado i spożywając je wspólnie przy tańcach i śpiewie.

Przez czas tych uroczystości nie rozpalano ognia, owszem, wychodząc z chat, gaszono takowy. Ogień bowiem nie mógł płonąć w chwili, gdy słońce zbudziwszy się ze snu zimowego, poczęło przygrzewać i oświecać.

Księża chrześcijańscy, nie chcąc zrażać do nowej religii, nie zabronili dawnego zwyczaju, — owszem, połączyli zabytek pogański ze świętem Zmartwychwstanie Chrystusa, odrodzenie i zbudzenie się przyrody z odrodzeniem się ludu przez wiarę.

Temu to subtelnemu wnuknięciu przez kapłanów w naturę naszych przapraojców, zawdzięczamy zapewne starodawny zwyczaj zastawiania święconego, — zwyczaj, którego inne narody nie mają.

Do onego zwyczaju odnoszą się też i pieśni o „gaiku“, z którym się znów łączy opowieść o „drażku“, strojnym w młode gałązki i pióra ptasie, a podczas zabaw i tańców wiosennych używanym. „Gaik“ w dawnej Polsce zajmował poczesne miejsce.

Dytmar, kronikarz niemiecki z XI-go wieku, powiada:

„Ten gruby rubacha (Bolesław Chrobry), zjadając olbrzymie misy mięsiwa i wypijając beczkę piwa, każe sobie śpiewać pieśni, przy których chłopcy skaczą, potrząsając ustrojonym w pióra i gałązki drażkiem. Zabawę taką urządza sobie na wiosnę, do której i kobiety jego należą.“

„Zofka, czwarta żona Władysława Jagiełły, kazała zwoływać żaków, którzy przed nią, jej synkami i dworem potrząsając żerdką ubraną w zielen, pieśni śpiewali.“ (Zapisano w „Kronice“ Długosza).

Z dworu królewskiego żacy szli od komina do komina — wszędzie ich przyjmowano, w zamku wielkopańskim, dworze, dworku szlacheckim, czy chacie włościańskiej, obdarzając według możności.

Żaczek, uzbierawszy sobie jada, grosiwa i przyodziewku, miał czem żyć i w co się przyodziać, aż do następnej dorocznej uroczystości, która mu znów na dalszy pobyt przy nauce środków dostarczała.

Kazimierz Jagiellończyk, czyniąc zadość wspomnieniom lat dziecięcych, chętnie pozwalał przybywać na dwór swój z gaikiem, — cieszyło to liczną gromadkę jego dzieci i wy-

chowujących się wraz z niemi dzieci dworzan.

Na dwór Zygmunta Augusta nie przybywali wprawdzie żacy, lecz lutniści jego mieli obowiązek śpiewać pieśni, stosowne do budzącej się wiosny, a jeden z młodszych dworzan wjeżdżał na ustrojonym w pióra kogucie drażku, wyprawiając pocieszne skoki.

Skorzystał z tego Stańczyk i wypowiadał zwykle gorzką prawdę, zastosowywaną do ówczesnych spraw dworskich.

Miedzy innemi dochowało się jego odezwanie:

— Jakoś temu kurowi wyrosły ręce, a zamarzło gardło!

— Jakto? — zapytał król.

— Nie budzi nikogo, choć wiele złego widzi, a garnie ku sobie, co najwierniejsi dworzanie jeszcze nie zagarnęli.

Nie przeszkodziło to wszakże, że w roku następnym Gaska, drugi wesołek Zygmunta Augusta, przebrany za kurka, wyprawiał skoki i znów jakąś gorzką rzucił sentencję.

Książe Józef Poniatowski, wymyślając najrozmaitsze zabawy dla pięknych pań, żadnych ciągłych nowości, — kazał w Jabłonie urządzić gaik i kurka.

Na ten raz kurek-gaik stanął w dwóch oddzielnych postaciach. Kurowski i Drażewski, dwaj młodzieńcy, należący do wesołego otoczenia księcia, byli bohaterami dnia.

Kurek i Gaik przebrani właściwie, wypowiadali oracye i śpiewali na cześć ówczesnych piękności, które całą plejadą zjawiały się w Jabłonie.

Były tam i dobrze już przekwitłe, usiłujące młodość sztuką podtrzymać, a do serca księżęcego choćby na chwilę się dostać.

Po wielu pięknych madrygalach przebrani dworzanie zawiedli:

KUREK. Kukuryku, kuul!
Przyleciałem tuu!
GAIK. Gdzieżes był w bracie?
KUREK. W czarownicy chacie.
GAIK. Coś tam robił, bracie?
KUREK. Chciałem młodość tam ulować,
W młode piórka się ozdobić.
GAIK. Nie udało się?
KUREK. Nie udało się!...

Piękne panie udały, że nie rozumieją alluzji, kilka wszakże opuściło dnia tego jeszcze uroczą Jabłonnę.

Kurowski i Drażewski otrzymali od księcia monitum i... suty datek.

Z. Morawska.



Nowa literatura francuzka.



Więcej niż piętnaście lat mija od czasu, gdy w jednym z pism warszawskich pomieściłem rozprawkę p. t. „Symbolizm“ (1887). Była to, zdaje się pierwsza u nas wzmianka, dotycząca nowego ruchu literackiego we Francji — i przytem współczesna niemal samym początkom tego zjawiska. Pod świeżym wrażeniem dążeń odrodzeniowych w dziedzinie twórczości poetyckiej, dążeń, których potrze-

bę sam uznałem — mogłem jedynie z wielkim zapalem mówić o tej rzeczy. To też pomimo, iż niejeden punkt w nowym ruchu zrozumiany był i wyłożony niezupełnie ściśle, rozprawka moja miała znaczenie zapowiedzi jakiegoś przełomu w literaturze. Niedokładność w rozumieniu symbolizmu częściowo tylko może być za mój własny grzech uważana: sami twórcy owego ruchu byli w tym czasie nie świadomi tego, co czynią. Przełom ówczesny nie był tak jaskrawy, jak to się zdarzyło np. w okresie romantycznym; przeciwnie szedł on drogą stosunkowo powolnej ewolucji. Powstała nowa metafizyka, ale długi czas była ona jeszcze powiązana z panującym poglądem na świat — i nie mogła się tak łatwo z pod jego wpływów oswobodzić. To też w początkach widzimy w t. zw. symbolizmie mieszaninę bardzo rozmaitych pierwiastków (realizm, pozytywizm, naturalizm, parnas, dydaktyka, ideologia, psychologizm). Nowe pokolenie, nowej poszukujące formuły artystycznej, było ze wszech stron zalane starymi formułami, i właściwie piętnaście lat temu szukało raczej drogi wyjścia, niżeli ją miało gotową; szukało wroga, z którym wypadało mu rozpocząć walkę. Mając bowiem intuicyjnie gotowe odpowiedzi, jeszcze nie postawiło sobie należyte pytania.

To też wyraz *symboliści* stanowił jedynie *vocabulaire*, nie mający ścisłego znaczenia; wyobrażał on łączność pewnej młodej grupy literackiej w przeciwstawieniu do innych grup, którymi — jak się to później okazało — byli przede wszystkim naturaliści i parnas. Dodać trzeba, że nowi pisarze nie mieli takiego arcykapłana, jakim dla romantyków np. był Wiktor Hugo, dla naturalizmu Emil Zola: tu szła odrazu cała grupa jednostek, bardzo różnych, wprost niepodobnych do siebie, — a które łączyła tylko pewna analogia w poglądzie na świat (Logos).

Mija lat 15 od czasu pierwszych hasel nowej szkoły (używam tego wyrazu w braku lepszego) — i trzeba przyznać, że nie zawiodła ona pokładanych w niej nadziei. Pominawszy starych mistrzów, jak A. Rimbaud, St. Mallarmé, R. Verlaine, de l'Isle Adam — mamy cały szereg nowszych niepospolitych pisarzy, jak Henri de Regnier, Vielé-Priffin, Emil Verhaeren, Jules Laforgue, T. Kahn, J. Maréas, Stuart Mériel, Fr. Jammes i inni, którzy ogłosili dzieła pierwszorzędnej wartości. Popularność ich jest różnego stopnia, ale popularność nie zawsze przesądza o wartości.

Nadszedł czas obrachunku sumienia. Nieco mdła i niezupełnie świadoma rzeczy, a razem przystrojona w pretensjonalną szatę przedwczesnej syntezy — książka p. Charles Merice'a była pierwszym dziełem, stanowiącym obraz tej *stającej się* literatury (Littérature de tout à l'heure, t. j. Liter., która się staje). A. Mookol w swych „Propos de littérature“ rozważa głównie twórczość H. de Regnier i V. Griffina, czyniąc z nich, jakby ogólne typy poezji współczesnej. Viglié-Lecoq w „Poésie contemporaine“ bada kolejno, jak się wyraża w tej poezji natura, miłość, mistyka, społeczeństwo.

Ostatnimi czasy coraz świadomiej się ujawnia dążność do historycznego ogarnięcia tego ruchu. Kilku autorów świeżo wydało

książki, omawiające twórczość nowych poetów w rozciągłości szerszej, niż to działo się dotychczas.

Przedewszystkiem zaznaczmy rodzaj antologii symbolistów p. t. „Les poètes d'aujourd'hui; mamy tu wyciągi ze wszystkich pisarzy wybitniejszych, oraz szczegóły bio — i bibliograficzne, dotyczące pojedynczych autorów. Dalej dzieło Gustawa Kahna p. t. „Symbolistes et Décadents,“ gdzie dużo wspomnień i anegdot do historii symbolizmu, a nadto ogólne poglądy, ułatwiające oryentowanie się w całości tego zjawiska. Nakoniec zwraca uwagę książka A. Beaucier p. t. „La poésie nouvelle:“ jest to szereg portretów literackich, b. dobrze, choć może zbyt eklektycznie malujących główne tendencje tego ruchu.

Trzeba zresztą dodać, że wszystkim tym dziełom nie brak panegiryzmu, zbyt przyjacielskich zachwytów i sądów nie zupełnie bezstronnych. Bądź co bądź, książki te budzą w nas uczucie szacunku dla garści poetów, którzy nigdy nie wątpili o powadze i znaczeniu swego stanowiska — i którzy w hałaśliwym, merkantylnie-politycznym otoczeniu swego czasu i społeczeństwa — umieli stworzyć sobie odosobnione i niedostępne środowisko, oddane czystej, niezależnej i nieprzejednanej sztuce. Długiego czasu to wymagało, zanim ludzie tę czystość sztuki uznali, ale chwila ta — dla nielicznych oczywiście — nastąpiła: ci nieliczni poszli ku odosobnionym i niezależnym poetom.

Przez długi czas środkowym punktem nowego ruchu poezji były *cenacle* u Stefana Mallariné. Dziwny ten i tajemniczy człowiek, który oddziaływał raczej słowem niż piórem, pisał niewiele, a jednak to, co napisał, wystarczyło do wywołania przewrotu w literaturze.

Był on odszczepieńcem Parnasu, podobnie jak P. Verlaine, ta ich heretyckość zapewne głównie uderzyła młodzież. Również kochał Baudelaire'a, odszczepieńca romantyzmu; Huysmana, odszczepieńca naturalizmu. Szanowano wysoce fantastycznych pisarzy, jak Barbey D'Aureville i de l'Isle Adam; poszukiwano w obcych literaturach również głębokich wpływów: Edgar Poë, Quincey, Hofman, Nowalis, Heine (ale Heine — wizjoner, nie zaś ironista) Ryszard Wagner, Henryk Ibsen, Dostojewski, częściowo Tołstoj, a w ostatnich czasach Fryd. Nietzsche. Wydobyto greckich, rzymskich i średniowiecznych pisarzy mniej znanych, a godnych uwagi, jak np. Platyn, Jambliochos, Aelianus, Hrosvitha i inni. Poszukiwano wszędzie wrażeń nowych i niespodziewanych.

Pierwiastek nowości był jednym z tych, których najbardziej pożądała dusza pokolenia, znużonego monotonią naturalizmu i Parnasu. Był to pierwiastek osobny, w dalekim związku tylko będący z przemianą poglądu na świat, lecz pierwiastek *par excellence* estetyczny, pragnienie świeżych lotów i świeżych oddechów. Parnas i naturalizm zewnętrznie zdają się mieć mało pokrewieństwa ze sobą; oba te odłamy sztuki były wszelako pod jednym wpływem i jedną miały podstawę, tak zw. pozytywizm.

Nowa poezja wynikała z reakcji przeciw

pozytywizmowi i oparła się na nowym poglądzie na świat, anti-pozytywnym, choć z pozytywizmu wynikającym; ten związek obu poglądów stanowił powód, do którego tak powoli nowa sztuka uświadamiała sobie swoją własną istotę. Jeżeli najnowsze pokolenie występuje w świat z bewzględną pewnością siebie, pokolenie pierwszych symbolistów chwiała się wciąż już to w jedną, — już to w drugą stronę.

Zgodnie z ideami Aug. Comte'a — jasne widzenie i ściśle konstantowanie faktów było pierwszą zasadą naturalizmu. Naturalizm usunął z dziedziny poezji wszystko, co stało ponad zjawiskami zmysłowymi: usunął wszelką metafizykę i nadprzyrodzoność. Dla tego ograniczał się na malowaniu strony zewnętrznej życia i bardziej go interesowało „zwierzę“ niż człowiek; wolał on tłum, niż oddzielną duszę ludzką, a przeto również usunął ze swej dziedziny badanie wewnętrzne człowieka, ignorował krainę marzenia, snu, legendy, mistyczności, cudu.

Pozytywizm, (lub mówiąc z angielską agnoscytyzm) uważając, że tajemnice bytu są dla nas niedostępne, niepoznawalne), zdecydował, że umysł ludzki wcale nie powinien się nimi zajmować. Uznawszy, że metafizyka przetrasta siłę naszego rozumu, zawyrokował, że powinniśmy się ograniczyć do rzeczy widzialnych. Z tego zaś wynikło bezwzględne zaprzeczenie metafizyki. I gdyby można świat podzielić na sfery: poznawalną i niepoznawalną, ściśle odgraniczone i określone, pozytywizm (jako pogląd na świat) byłby zgodny z naturą; ponieważ jednak tajemnica krąży dokoła nas, między nami i wewnątrz nas — zatem nieustannie się z nią stykamy i co chwila musimy łamać zasady pozytywne. Naturalizm trzymał się w granicach poznawalnego, rojąc, że „z retort nam błysnie tajemnica śmierci.“ Dla duszy ludzkiej miejsca tam nie było: była natomiast jakby wielka dusza kolektywna, która wielu dziełom Zoli nadawała charakter socyalny, ale ta właśnie dusza kolektywna niejako zagłuszyła duszę osobistą.

Nostalgia opanowała serca; marzenie na nowo zehodziło między ludzi; z samej nauki ściślej wykwiatała mistyczna jakaś, jeszcze nie skryształizowana, wprost jakby religijna doktryna; na kresach wiedzy okrywały się tajemnicze sfery, do których sam pozytywizm (jako metoda) otwierał wrota; sam on *obracał się* w mistycyzm; nauka stawiała się magią. Tajemnica jawnie ukazała się w świecie poznawalnym, jako potęga wszechmocna i wszędzie obecna; samo poznawalne pod tym kątem widzenia przedstawiło się nam, jako splot fenomenów tajemniczych i niepojętych. Tajemnica była wszędzie — zepchnęła precz rzekomie jasne widzenie rzeczy i konstatowanie faktów. Naturalizm był przytem obiektywny, ale rozumiał to jako zbiorowość. Dlatego zło i dobro pojmował on ze stanowiska zbiorowości — i miał dość jasno rozgraniczone empiryczne pojęcia o jednym i drugim zgodnie z pojęciem ogółu. Nowi ludzie, stanawszy na bardziej oderwanym punkcie rozważali byt metafizycznie, poza granicą dobra i zła. Dla nich wszelkie zjawiska, zwane społecznymi — stanowią rzecz nie istotną

i nie zawierającą w sobie pierwiastka niezmennego. Naturalizm opierał się całkowicie niemal na empirji — nowa sztuka wybrała sobie drogę wręcz przeciwną.

Jakie niebezpieczeństwa kryje ta droga — to inna sprawa, jakie nowe błędy zawierają się w tych nowych poglądach, — to się okaże w pokoleniu przyszlę, które się również znuży metafizyką, jak my znużyliśmy się nadmiarem „faktów.“

Dość ogólnem jest zamknięcie się każdego pisarza w granicach swojej jaźni, rozdrobnienia atomów ludzkich. Człowiek stał się na nowo miarą rzeczy.

A. Lange.

(Dokończenie nastąpi).



HISTORIA KOBIECY.

STUDYUM SPOŁECZNE

PRZEZ

Julię Terpiłowską.



(Ciąg dalszy).

Nam dziś czującym inaczej i patrzącym na co innego, bo na wprost przeciwne pokrywanie przed opinią polityczną bezwzględności humanitarnymi pozorami, trudnem jest do pojęcia takie szczere barbarzyństwo w ludziach tak cywilizowanych. I dziw, i zgroza nas przejmują, gdy widzimy na kartach historii postawione obok siebie takie świetne, szlachetne, wielkie imiona, jak Katonów, Scypionów, Emiluszów, Metellów — i takie fakty, — jak po zdobyciu Kartaginy sześciu dniowa rzeź kroci ludzi i zrównanie z ziemią ośmiu mil obwodu mającego miasta, — jak po zajęciu Koryntu wycięcie bezbronných mężczyzn i wydanie na łup żołdactwu kobiet, dzieci i niezliczonych arcydzieł sztuki greckiej. A współrzędna z polityką zaborczą polityka wewnętrzna? Doraźne egzekucje Maryusza, krwawe proskrypcje Sylli, w czasie których Rzym dzielił się na mordowanych i mordujących, którzy kolejno stając u steru, wyrzynali dziesiątki tysięcy obywateli; zawsze krew — krew — krew — a nad krwawą kurzawą unoszące się straszliwe słowo: racya stanu!

Bo sprężyną tego wszystkiego, motywem, logiką i mniemanem usprawiedliwieniem, była ciągle owe nieubłagana racya stanu. Rzym panować musi, Rzym nie znosi oporu ani współzawodnictwa, — więc zetrzeć z powierzchni ziemi wszystko, cokolwiek chce być samostnem; Rzym według przekonania tego lub owego tylko pod tą lub ową formą rządu potężnym być może, — więc zdjąć z kadłuba każdą głowę, która ma inne przekonanie, — a w pierwszym, drugim i w każdym innym wypadku nie wzdrygać się przed niczem, bo do wszystkiego upoważnia racya stanu.

I wierzyli ci ludzie sami sobie, a w potomość na półtora tysiąca lat wmówili, że ta racya jest rzeczywiście słuszną racją...

Ta działalność polityczna Rzymu była naturalnie tylko męzka; kobiety czynnego udziału brać w niej nie mogły. Jednakże ucze-

stniczkami jej były, ponieważ solidaryzowały się z nią moralnie. Sfera czynów męzkich była sferą pojęć i uczuć kobiecych; one tych ludzi podniecały, zagrzewały, podziwiała, wielbiły; one nie wegetowały w gynecjach, jak szlachetne Greczynki, lecz chodziły po ulicach i placach z głośnie słowem zachęty lub nagany na ustach, a bywało, że i na Forum Romanum słyszano ich krzyki bólesci, albo głosy tryumfu. Typowo i dosadnie maluje ten stosunek jeden szczegół z czasów drugiego Tryumwiratu: Gdy Oktawian wydał zemście Antoniusza wielkiego Cycerona, gdy zawzięty tryumwir przyniesioną sobie jego głowę kazał zatknąć na mównicy w rynku, jako groźbę dla przeciwnego stronnictwa,—zchwyciła ją pierwszej w swoje białe ręce Tulwia, Antoniuszowa małżonka, i dobyła z włosów złotą iglicą krasomówczy język przekłuła...

A kiedy się zdarzało, że Rzymianka miała sposobność wykazania swego charakteru na polu jakiejś szerszej, widoczniejszej działalności, czyniła to w sposób godny córki i żony kurulnych mocarzy, szlachetnie albo niegodziwie, ale zawsze w wielkim stylu.

Mareya, żona znakomitego Regulusa, którego jakoby Kartagińczycy w beczce nabijanej gwoźdźmi zamęczyli, otrzymawszy od senatu rzymskiego w podarunku kilku znakomitych kartagińskich jeńców, kazała ich także zamknąć w skrzyni, mającej żelazne kolce.

Tulwia, kochanka jednego ze spiskowców Katyliny, dowiedziawszy się od niego o tajemnicy sprzysiężenia, odkryła ją Cyceronowi, przekładając wydanie na śmierć kochanka, nad zdradzanie swych politycznych przekonani.

Porcya, córka Katona Utyckiego, a żona Marka Juniusza, równie gorliwa, jak mąż i ojciec republikanka, tak samo, jak oni nie chciała przeżyć upadku Rzeczypospolitej i po otrzymaniu wieści o wyniku bitwy pod Filippami umorzyła się czadem węglowym.

Kornelia, córka Scypiona, matka Grakchów nieskazanej cnoty „univira“, odrzuciła rękę i koronę króla Libijskiego, aby oddać się całkowicie wychowaniu synów i wszczepiać w nich te zasady, które z nich zrobiły szlachetnych trybunów ludu, za wolność i równość oddających życie. Śmierć ich zniosła ze stoicyzmem wielkoduszności, która umie nie okazać bólu, gdy trzeba złożyć ukochaną głowę na ołtarzu wzniosłej idei. Rzym, jakby jakiemu konsularnemu mężowi, wznosił tej niewieście pomnik, na którym wyrzyto napis: „Cornelia, mater Gracchorum.“

Takimi były Rzymianki z czasów Rzeczypospolitej pod względem uczuć i pojęć społecznych. Co się zaś tyczy tak ważnego dla każdego społeczeństwa poziomu etycznego jego niewiast, ten z pierwotnej surowości przechodził stopniowo do coraz większego obniżenia, aż po ustaleniu się potęgi rzymskiej, w zwojowaniu Grecji i zaimportowaniu jednocześnie z nauką i sztuką helleńską, helleńskiej demoralizacji, stanął tak nisko, że znacznie przewyższył swój pierwowzór—obyczaje greckich hetair.

Rzymskie matrony nie miały subtelności wdzięku i świetnego dowcipu ateńskich zalotnic; ciężką ręką brały się do dogadzania

swoim namiętnościom, a przy ich usposobieniu stanowczem, energicznem, w niczem nie znoścem połowiczności, lekkość obyczajów wkrótce stała się brutalną rozwiązłością.

Początku tej decentralizacji trudno ściśle określić. Widocznie już w III-im w. przed Chr. bardzo podupadła starodawna cnotliwość Rzymianek, skoro twardy konserwatysta, surowy cenzor, Marek Kato w tym właśnie czasie ostro występuje przeciw nowatorstwu w obyczajach, gromiąc ich rozluźnienie; sprzeciwia się nawet przejmowaniu greckiej kultury, skoro z nią razem przeszczepia się zepsucie. Już wtedy zbytek, przepych, wszelkie używanie i nadużywanie rozpanoszyły się w Rzymie na dobre, już szły za nimi nieodłączne ich cienie: gnuśność, rozwiązłość i zniekształcenie. Jeszcze po nad tą grząską topielą sterczały hardo niezdołane twierdze obywatelskiej cnoty mężów, starodawnej obyczajności niewiast; ale już coraz śmielej rozpościerała się wśród nich prywatna, przedajność i deprawacja, a jawny bezwstyd stawał się coraz częstszym udziałem nie tylko mężczyzn i kobiet z ulicy, lecz nawet dumnych strażniczek domowego ogniska.

Na takim tle występowały coraz śmielej wielokrotne próby zaprowadzenia jedynowładztwa, aż nakoniec pojawił się, rozwinął i ustalił ów tak rdzennie rzymski wytwór społeczny, jak rdzennie grecką była republika,—Cezaryzm.

Juliusz Cezar—wcielenie rzymskiego geniuszu we wszystkich jego najwspanialszych cechach, w jego szybkiej a wytrwałej energii, w jego politycznym rozumie, w jego hardem, na wszystko ważącym się mężowie — Juliusz Cezar nie posiadał owej twardej „rzymskiej cnoty“, która w pierwszych czasach Republiki objawiała się zaparciem wszelkiej indywidualnej uczuciowości, a w ostatnich—stała się maską potwornego egoizmu, druzgoczącego wszystko, co stało na drodze do osobistego wyniesienia się, pod pozorem ofiary *pro publico bono*.

Egoizm Cezara dążył do pożądanego przez jego ambicję celów drogą torowania wojennym mieczem, nie nożem morderczym lub skrytobójczym sztyletem; świeże przykłady mariańskich i sullańskich rzezi nie znalazły w nim naśladowcy; umiał oszczędzać politycznych przeciwników, darowywać nawet osobistym nieprzyjaciółom.

Po zwyciężeniu Pompejusza za przyniesioną sobie do nagrody głowę jego karą śmierci zapłacił—i patrząc na nią, a wspominając dawną przyjaźń i zmienność losów — zapłakał. A gdy mu doniesiono o samobójstwie nieprzejednanego Katona, wyrzekł z żalem: „Wydarł mi tę chwałę, abym mógł mu darować życie.“

To też działalność społeczna Cezara zmierziała — zapewne, że głównie w skutek politycznej bystrości, ale także poparta tą ludzkością usposobienia—do ujęcia ciężaru wszystkim, których miażdżyła surowa wyłączność rzymska, do rozluźnienia pęt ludom podbitym, do zniwelowania olbrzymiej nierówności praw zaborców a zwyciężonych.

Był więc ten człowiek, o którym rzecz można, że stworzył nowożytną Europę, godnym duchowym protoplastą europejskiej cywiliza-

cy, to też z chlubą zaznaczamy, że pomiędzy różnorodnymi wpływami, wpośród których geniusz jego kształtował się i urastał, nieposłednie miejsce zajmuje wpływ kobiety; Juliusz Cezar bowiem wcześniej przez śmierć ojca osieroconym został, a owdowiała matka, Aurelia, sama kierowała wychowaniem syna. A była to matrona zacna i roztropna, jedna z tych, które w owej epoce do coraz już rzadszych wyjątków należały.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Wielkie czucia!



«O! świat ten gorzki, śmiechem przeraźliwy,

...
«Bo przeciw wielkim czuciom on gniewliwy!

Słowacki.

Niepojętą, dziwną, trudną do rozwiązania zagadką zawsze jest i była owa dusza świata, która przeciw wielkości dusz i serc jednostek bunt podnosi i nie chce, nie umie uznać tego, iż jest, być może ktoś wśród tłumów, ktoś wielki myślą, czynem, uczuciem.

I słusznie Słowacki powiada, iż przeciw wielkim czuciom świat jest gniewliwy, bo czyha on na to, czeka, sili się, aby tylko ludzi czynić małymi, jak najmniejszymi, lichymi, jak najlichszymi, ani o włos nad miarę popolitości nie wyniesionymi, ani o jedną miarę dobra nie ulepszonymi. Świat lubi zło, niskość, brud, upadek, a tak mu żal, gdy straci jednostkę nie lgnącą do upodlenia, iż wtedy, jeśli nie ma siły jej pokonać swoimi podszeptami i wabikami, zabija ją śmiechem gorzkim.

Od wielkich czasów historii greckiej, od rzymskich Cezarów i konsulów, od średniowiecznych praw pięści i mocy, aż do dni dzisiejszych jest zawsze jedno i to samo... jest wypowiedziana wielkim czuciom walka, szyderstwo i śmiech, jest wyteżona siła przeciw ludziom, którzy chcą być wyższymi nad zło.

I w życiu kobiet nie mniejszą walkę toczy świat ten gorzki o to, aby wielkie czucia zabijać, aby wielkie cele poniżać, aby wielkie ideały zszargać w upodleniu.

Aby nie tylko nie było po nad codzienność, po nad popolitość, po nad średniówkę, oto najtroskliwsze czuwanie.

I wiedzą dobrze te kobiety, które chcą iść wyższą drogą, ile im razy w oczy bluźnięto szyderstwem, ile razy wyteżano całe zastępy perswazyi, chłodnego rozumu, rozważa, a wreszcie i cynizmu, aby od wielkich uczuć oderwać i uczynić w pół senne, w pół czujące, w pół albo i nie wcale nie myślące.

— O!... idealistka!...—wołają z ironią o tej, która chce maluczkich nauczyć czytać, która dziewczętom wkłada do rąk kawałki perkalu i uczy szyć koszulinę lub dziergać chusteczkę na głowę.

— O!... egzaltowana!—wołają z oburzeniem na tę, która zbiera wylęśające się dzieci, po ulicach miasta, czyta im biblijną historię,

opowiada o wsiach dalekich i zachęca do pracy wytrwalej.

— Przewrócona głowa!—mówią o tej, która nie chce uczynić wyboru wedle nazwiska męża lub jego kieszeni, woli ubóstwo, lecz w zgodnej harmonii pojęć i charakterów.

— Dziwaczka! — wołają o tej, która nie chce wyzbyć się ostatniego zagonu ojcowizny, walką, zaparciem się i przebojem utrzymuje ten zagon drogi i chce go oddać dzieciom, a nie obcym. Tak na wielkie uczucia źli i mali plwają, tak syczą gniewem gadów pełzających, które nie mają siły do lotu i wyniesienia się.

Młode dziewczę nie jeden raz, zranione gorzkim śmiechem świata, łamie swe ideały, gasi wielkie uczucia i bojąc się ciągle, aby nie zasłużyć na krytykę, staje się lalką wedle szablonu—małoduszną jednostką, zerem, które niczem jest i niczego nie wykona...

Nie jedna kobieta, choć miała wielkie zdolności, porywy gorące, choć rozbudzonem wzrokiem mierzyła drogę obowiązków społecznych i narodowych—ustała... bo wszyscy i wszystko przeciw niej zaporą się kładło, bo wszystko i wszyscy wołali: Ideały! Marzenia! Egzaltacja! Żądza wywyższania się!

I tylko ci stają się wśród ludzkości prawdziwie wielkimi, którzy nie liczą się z opinią świata, nie lękają się jego gorzkiego śmiechu, „wielkie uczucia“ w sercu noszą i przez nie wielkie czyny spełniają.

Tacy później, po śmierci, po wielu łzach palących, po wielu bliznach krwawiących, po wielu cierniach, kolących, przecież zostaną uznani wielkimi i historia imiona ich wpisuje rylcem w księgę przykładów wzniosłych.

Wtedy świat już nie huczy gorzkim śmiechem ironii i już nie rzuca plamami cynizmu...

Lecz jakże tych mało!...

Jakże wielu niewytrwałych uniża się zbyt łatwo i jak wielu pochyla się przed śmiechem świata nie lubiącego „wielkich uczuć!“

Czy nie pora nam stanąć do otwartej walki z małostką świata? Czy nie należy nam właśnie tych potępiać i deptać, którzy tylko *małe uczucia* mają i *małemi uczuciami* cele przyszłości mierzą?

Matka, żona, narzeczona, kobieta każda myślą żyjąca, wiarą w zdobycie ducha wiedzona do prac najwznioślejszych, każda taka niech ma odwagę, wielkie uczucia rozsiewać dookoła, do nich wołać, niemi rozpalać i wspólnie z niemi wielkie czyny obywatelskie spełniać. Świat się dlatego tak boi niezmiernie „wielkich ludzi“, iż oni go depeczą, on dlatego tak czujnie chce łamać i karlić każdą myśl wyżej strzelającą, bo ona mu przeszkodą w jego pożądaniach, lenistwach i upodleniach, stanąć może, on dlatego tak urąganiem chce kruszyć porywy wielkie, bo one szkaradę małostki uwydatniają.

I kobiet wielkich duchem boją się dlatego mali ludzie, bo one poczną wyrabiać bohaterów i zdolnych do zaparcia się, a im tak niezmiernie wygodnie w samolubstwie i leniwej wegetacji.

Literaci, poeci artyści, rzucają przed oczy świata idealne postacie wielkich ludzi, ale nie rozumieją ich, senni, plugawi i skarlali.

Wyższe umysły, serca szlachetnością prze-

jęte rwą się do czynów wznioślejszych i chcą by wielkie uczucia ludzkości, bóle, walki, zaparcia się, trudy, wytrwania, by one nie życia przedły i czynami haftowały, ale czynią to trwożnie, lękliwie, bojąc się, aby nie wyśmiano, nie ogłoszono szaleńcami, dążącymi do wielkości życia.

Smętna i ponura tragedia duchów nie umiających walczyć z małostką i niekczemnością świata.

„Wielkie uczucia“, to skarby ludów, wielkie uczucia—to siła, wielkie uczucia to najwznioślejsze cele jednostek godnych nazwy człowieka... więc ich się nie wstydzic, ale je trzeba rozpalać i do nich budzić!

Jadwiga z Z. Strokowa.



N A S Z KWESTYONARYUSZ MACIERZYŃSKI.



(Ciąg dalszy).

XII.

Wyczytawszy szereg odpowiedzi nadesłanych na Kwestyonaryusz macierzyński, które dotychczas nie zadowolili moich zapatrywań, ośmieliłam się skreślić takowe i pokrzepiając się otuchą: „Lepiej późno, niż nigdy“, przesłać je do redakcyi „Bluszczy“ z ukrytą nadzieją, że i dla mnie miejsce się znajdzie. A więc zaczynam w imię Boże!

Mojem zdaniem, kobieta przedewszystkiem pamiętać powinna, że jest również człowiekiem i ma prawo nie zasklepiac życia pomiędzy sypialnią i kuchnią jedynie, lecz dążyć w miarę sił i zdolności do wszechstronnego rozwoju posiadanych zasobów umysłowych i intelektualnych.

Nie należy przedstawiać córkom, że jedynie dobrym obiadem zjedną i przywiążą męża do domu, bo wszak nie tylko chlebem codziennym człowiek żyje, a skoro dla męża strawa będzie podstawą szczęścia małżeńskiego, sam sobie wystawi świadectwo wartości duchowej.

Małżeństwo powinno być spółką moralną i materyalną, w której żona przedstawiałaby kapitał, bo wtedy zawsze zyska w ocenie i uznaniu.

Nie każda jednak rozporządzać może majątkiem, dajmy zatem córkom naszym zawodowe wychowanie, któreby w razie potrzeby zarobek zapewnić im mogło. Żadna groszowa oszczędność w domu, nawet własnoręczne gotowanie, lub szycie nie stanowi takiej imponującej pomocy, jak grosz gotowy. Kobieta rozumna wszystko pogodzić potrafi: obstaruje obiad, zrobi rachunek, nagromadzi zapas w spiżarni, nie zajmie jej to dnia całego, może jeszcze znaleźć choć kilka godzin, aby żyć szerszym, bardziej uspołecznionem życiem. A na brak pola do działania uskarżać się niepodobna; jest praca umysłowa, społeczna, filantropijna, którą nawet z obowiązkami domowymi bez szwanku pogodzić można. Tam, gdzie małżeństwo podziela i rozumie wspólną pracę, krzewi się miłość, oparta na wzajemnym szacunku i ocenieniu. Wtedy, gdy po parogodzinnem zajęciu po za domem, siadają do wspólnego posiłku, nastąpi wymiana wrażeń, myśli, działań dokonanych. Tam jednak, gdzie mąż powraca z szerokiego świata, pełen wrażeń i zastaje żonę w kuchni, pachnącą sosami, zatłuszczoną, która dzień cały spędziła na okurzeniu, doglądaniu obiadu,—o czem on z nią mówić będzie?

Dzieci, gdy są świadkami jakiejś inteligentnej lub zacnej wymiany myśli, czyż nie lepiej kształtują się ich serca, niż rozmowa o kłótni z kucharką lub drożyznie masła? Prawda, w znacznym stopniu zależy to od męża, gdyż najczęściej jesteśmy takimi, jakimi oni nas urabiają.

Bywają wprawdzie mężowie, którzy utrzymują, że ich to kompromituje, gdyby żony zarabialy, gdyż oni sami mają obowiązek utrzymania domu i rodziny. Ale to są najczęściej frazesy; praktyka życiowa pokazuje inne rezultaty. Żona-nauczycielka, żona-doktor, żona artystka jakże inaczej traktowana jest w rodzinie, niż przeciętna „kura domowa!“

Dziś też, gdy hasła duchowego rozwoju przenikać poczynają wszystkie warstwy społeczeństwa, budzić młode pokolenia, matki przedewszystkiem pamiętać powinny, aby całą siłą woli podążały za dziećmi swemi. „Trzeba z młodymi naprzód iść, po życie sięgać nowe,“—jak mówi poeta. Zwłaszcza, kiedy się posiada synów, matka starać się powinna poznać nowe prądy, aby umieć odczuć duszę swego dziecka, a pozyskawszy zaufanie, móżd wpływ na nią wywierać.

Wiele zapewne czasu upłynie jeszcze, zanim dziewczęta nasze zaczną się uczyć wspólnie z chłopcami, od lat najmłodszych uważać chłopca za równego sobie człowieka, nie zaś za coś wyższego.

Ameryka, która oddawna wyprzedziła babcię Europę, znakomite rezultaty osiąga z nauki w szkołach mieszanych. Chłopiec, widząc, że dziewczynka uczy się tego samego, co on, a nieraz szybciej od niego pojmuje, nie będzie się przyzwyczajał lekceważyć kobiety i uważać siebie za coś zupełnie odrębnego.

Dziś można słyszeć, jak ojciec do dziesięcioletniego syna powiada: „Co tam mama wie! *my mężczyźni* inaczej to rozumiemy.“ I chłopiec jest już przekonany, że mama to jakaś niższa istota. Otóż gdy „mama“ stanowić będzie jakąś siłę społeczną, ustanie lekceważenie, dzieci wychowywać będzie można samodzielniej; dziś mąż może być karciażem, hulaką, może żonę zdradzać, ona mu w twarz nie plunie, tylko wszystko zniesie dla świętego spokoju, dlatego, że na rozwiedzioną kobietę pada w dzisiejszych czasach cień; nie tylko na nią, ale i na dzieci,—jak zresztą wychowa synów bez pomocy mężkiej? Więc podleje z czasem, godzi się na wszystko w pokorze ducha, ale jak się dzieci wychowuje w takim małżeństwie?

Uczmy siebie, uczmy dzieci swoje być silnemi, słabość to nasza wada narodowa.

Uświadamiając młodzież w celach i zagadnieniach życia, dając jej wykształcenie, wdrażając do solidarności i budząc poczucie sił własnych—pracujemy jednocześnie z myślą kulturalną i społeczną.

Warszawianka.



A. B. de Guerville.

Szkice z Japonii.



III.

I c h ż o n y.

— Czem-że się to dzieje—pytałem znajomego Japończyka,—że ci nawet z pośród was, którzy najbardziej naśladują Europejczyków, z żonami obchodzą się tak, jak gdyby po

dawnemu sądzili, że kobieta jest niższą istotą.

Spostrzegłem odrazu, że nie podoba mu się to pytanie. Japończyk nie lubi mówić z cudzoziemcami o matce, żonie, córce. Ale że byliśmy w dobrych stosunkach i poruszaliśmy już niejedną sprawę drażliwą, po wahaniu, odpowiedział mi szczerze:

— Nasze kobiety nie mają powodu uskarżać się, nigdzie nie są szczęśliwsze, jak u nas; uważamy je za przyjaciółki i miłe towarzyszki, ale w obecnej chwili położenie ich niezwykłe. Od lat czterdziestu idziemy po drodze postępu, robiąc kroki siedmiomilowe, pociągaliśmy za sobą armię, marynarkę, rząd, oświatę, słowem: wszystko *oprócz kobiet*.

Podczas gdy my, mężczyźni przebiegaliśmy Europę i Amerykę, podczas gdyśmy otwierali szkoły wojskowe, marynarskie, centralne i t. p., gdyśmy budowali arsenały, koleje i magazyny mód na wzór europejski, przez cały ten czas nasze żony siedziały w domu, z dziećmi. Skutek był taki, że pewnego pięknego dnia spostrzegliśmy, iż pozostały za nami o sto lat co najmniej w tyle, że żyją w innym świecie. Słowem, stoją jeszcze u dołu drabiny, gdy my wspieliśmy się już do jej połowy. Jakże nas dogonić?

Było to powiedziane z komiczną rozpaczą.

— Nie jest może tak źle, jak się panu wydaje—wtrąciłem.

— Przeciwnie, jest źle, a sprawa bardzo ważna. Pan nie pojmujesz jej doniosłości, sądząc o kobietach japońskich z wyjątków, z dam dworu, arystokracji. Te podróżowały, otrzymały wykształcenie w Europie, w Ameryce, polerują się przez obcowanie z cudzoziemkami. Ja zaś mówię o milionach kobiet, ze stanów średnich i najniższych—one nie ucywilizowały się dotychczas. Na szczęście nie kierują one nawą państwową.

— Kto wie, czy to nie stanowi waszej siły—pomyślałem.

Zapytywany przezemnie o trafność tych zapatrywań pewien dygnitarz dworski, człowiek poważny i doświadczony, potwierdził je zupełnie.

— Robiliśmy kroki olbrzymie na drodze postępu—mówił—kobiety ze swoimi drobnymi nóżkami podążyć za nami nie mogły. Dziś nie biegamy już tak prędko. Znamy włoskie przysłowie: „*Chi va piano, va sano...*“ Zwolniliśmy kroku, ale nasze panie nie korzystają z tego, aby nas dogonić. Od niedawna zajęliśmy się ich wykształceniem. Otworzono liczne szkoły żeńskie i rozmaite instytucje naukowe. Jednak, przyznam panu, że nie chcemy wytwarzać sawantek, doktorek, adwokatów, chcemy mieć żony wykształcone, ale nie gardzące domowymi zajęciami, dobre matki, gospodynie, wierne i kochające towarzyszki życia.

— Co za praktyczny naród z tych Japończyków!—myślałem—urobią najwygodniejszy typ kobiety; takie nie będą im zatruwały życia a umiła je niewątpliwie.

Streszczając to, co mi mówiono o kobietach z burżuazji i ludu, mogę twierdzić, że są traktowane przez mężów bardzo dobrze i zadowolone ze swego losu.

Młode dziewczyny są ładne, zręczne, miłe,

uprzejme i wesołe. Lubią się stroić w żywe barwy, lubią muzykę, tłum, zabawy.

Mężatki są wzorowymi żonami i mają mnóstwo dzieci.

Kobiety stare—o te, są okropne! Japonki prędko więdną i robią się z nich straszdyła; muszą być jednak dobre, bo japońskie babuni uwielbiane są przez wnuki.

Wśród włoscian i drobnych mieszczan kobieta pracuje dużo, idąc w tem śladami mężczyzny, albowiem próżniactwo jest zgoła nieznane między ludem.

Na wszystkich szczeblach społecznej drabiny Japonka bywa zalotną, chciałem dodać: jako nieodrodna „córka Ewy”—ale czyż wszystkie rasy, tak różnobarwne i różnorodne pochodzą od Ewy?

Dlatego właśnie, że jest zalotną, Japonka po nieudanych próbach, przestała ubierać się po europejsku. Zrozumiała odrazu, że wygląda śmiesznie w strojach, nieodpowiednich do swego sposobu chodzenia i siadania. Dobre to dla dam z wyższego towarzystwa, które mają pałace, umeblowane po europejsku, ale nie dla zgrabnych laleczek, mieszkających w domach papierowych, siadających na białych matach na ziemi.

Japonka jest niewątpliwie najczystsza kobietą na świecie; każda, uboga, również jak i bogata, kąpie się codzień, czasem dwa razy dziennie. Dla bardzo biednych ludzi są kąpiele publiczne, bezpłatne, uczęszczane we wszelkich godzinach dnia i wieczora. Tam wszyscy kąpią się razem. Przypatrując się przez papierowe ścianki cudzoziemiec mógłby dojrzeć zabawne rzeczy. Powiadam: *cudzoziemiec*, bo Japończykowi nie przysłoby nigdy na myśl podpatrywać. Nagość nie budzi w nim myśli nieprzystojnych, a obnażanie się, według Japończyków, jest o tyle tylko niewłaściwe, o ile ciało nie jest zdrowe lub czyste. Nie znają wstydlivosti i dziwią się jej objawom u człowieka białego.

Jeszcze przed laty kilku, z powodu ciasnych domów, zwykli byli wynosić na ulicę naczynia w rodzaju wanierek—kobiety, dzieci i mężczyźni kąpali się publicznie, bez najmniejszego zawstyżenia. Ale cywilizacja skasowała ten barbarzyński zwyczaj.

Stróżę porządku i przyzwoitości publicznej, policjanci w niebieskich mundurach ze złotonemi guzami wyrugowali waniarki z ulic i nie pozwalają otwierać drzwi domów podczas kąpieli.

Dawniej, nawet panie z arystokracji kąpały się przyjmowały gości.

Honny soit qui mal y pense!

Bawiłem parę dni w miejscowości kąpielowej pomiędzy Yokohamą a Kobe. Był tam wygodny hotel, nawpół europejski, nawpół japoński.

Pierwszego wieczoru, gdy się rozbierał, weszła służąca z oznajmieniem, że w hotelu jest *tub* i że mi go przyniosą jutro.

Istotnie, o siódmej rano wbiegła owa *musme* i z pomocą drugiej subretki, równie ładnej i miłej, wniosła ogromny *tub*.

Ustawily go na środku pokoju, poszły po wodę, a gdy już wszystko było przygotowane, podbiegły do mego łóżka (udawałem, że śpię), zdarły ze mnie koldrę i śmiejąc się wołały:

— Prędeż, prędeż! Kąpiel już gotowa!

Choćbym chciał im tłómaczyć, że wstydę się kąpać w ich obecności, byłoby to dla nich niezrozumiałem.

Oblały mnie wodą, wytarły ręcznikami, jedna od dołu, druga od góry, stanawszy na krzesle. W ich obejściu nie było poufałości, lecz wdzięczna swoboda.

Ha! co kraj, to obyczaj!



Na półkach księgarskich.



— *Henryk Salza: „Błędny szlaki.“* E. Wende i S-ka. Warszawa, 1903.

Jest to zbiorek poezji, przeważnie nastrojowo-melancholijnych, bardzo subiektywnie przedstawionych. Autor odzuwa, spostrzega, obserwuje przez pryzmat własnego „ja“, patrząc na rzeczy otaczające i czy to w malowaniu krajobrazów, czy pojęć oderwanych, czy zagadnień filozoficznych, czy uczuć — przedewszystkiem siebie, jako widza i działacza przedstawia. Sympatyczną i godną zaznaczenia jest myśl przewodnia autora, która mu każe snuć pieśni:

W Ahaswerowie tulactwie żywota
błędny szlaki dusza moja kroczy;
do nieskończonych wszechświata przeźroczy
nieukożona wiedzie ją tęsknota.

Forma wierszowania poprawna i łatwa, uważaną być może jako proza poetycka.

— *St. Korczak: Wieczornica Wolińska.* Warszawa. 1904. Nakładem autora.

Zawiera charakterystyczne opowiadania i pieśni skreślone z umiłowaniem gorącym dla wspomnień z młodością związanych. «Wieczornica» traktowana na wzór gawęd Pola i Syrokomli—opiewa zgromadzenia wieczorne w izbie czeladnej, spędzane na przędzeniu, tkaniu, łuskaniu fasoli, a rozweselane chóralnym śpiewem i zajmującymi opowieściami o tendencji moralizatorskiej. Forma wiersza nie kunsztowna, nie wyszukana, lecz prosta i łatwa. Prócz «Wieczornicy», zbiorek mieści smutny wiersz «Sierota», uczuciowy »Żal matki,« a także »Do ideału,« »Życie a myśl,« mające uosabiać najsilniejsze wzloty ducha.

Tytułową kartę książki zdobi rysunek M. Chromcewiczówny.

— *Wanda Młodnicka: „Stare Baśnie.“* Nakład Księgarni Polskiej B. Polonieckiego. Lwów—Warszawa, E. Wende i S-ka. 1904, str. 229.

Książeczka ozdobiona kolorowymi obrazkami, zawiera szereg bajek z życia fantastycznego o dziwach nadprzyrodzonych, opowiedzianych zajmująco, stylem gładkim, jasnym, potoczystym. Piękny język w wysłowieniu podnosi jeszcze ich zalety. Każda bajka zawiera zręcznie ukrytą naukę lub przestrożę.

Baśnie osnute są na znanych tematach, np. o »Kopciuszku,« »O Twardowskim,« »O chałupce z pierników,« »O dzbanie lez,« lecz przedstawione w sposób oryginalny.

Polecić je gorąco możemy, jako dobry nabytek dla młodszych dzieci.

g.



Kronika działalności kobiecej.



— Sprawozdanie z działalności Kasy samopomocy kobiet za rok II-gi, od dnia 1-go Lutego 1903-go roku do dnia 31-go Stycznia roku 1904-go przedstawia się, jak następuje: Z końcem roku pozostało uczestniczek 787, przybyło do dnia 18-go Marca r. b. 130, razem 917. W ciągu roku zmarło 3. Członków protektorów i honorowych 12. Doktorów ordynujących 18, massażystek 2, akuszerok 3. Pożyczek wydano 169 na sumę rubli 5,565, najniższa pożyczka była rubli 3, najwyższa rubli 160. Wydatki na sześć pogrzebów ru-

Nasz ul.



— Świeżo opuściła prasę księga zbiorowa p. t. „*Na powodzie*“, wydana pod kierunkiem literackim Stanisława Graybnera.

Na treść złożyły się utwory cenionych naszych pisarzy, jako to: Piotra Chmielowskiego, I. Chrzanowskiego, Deotymy, S. Dicksteina, Felicyana, Wiktora Gomulickiego, Z. Glogiera, T. T. Jeża, J. Kasprowicza, M. Konopnickiej, A. Kraushara, A. Krechowieckiego, W. Lutosławskiego, M. Massoniusa, L. Méyeta, Or—Ota, E. Orzeszkowej i wielu innych. Księga ta ze względu na cel szlachetny i wartość literacką zasługuje na jak najszerze poparcie i rozpowszechnienie. Zalety podnosi nadto staranne wydawnictwo: druk i papier piękny, liczne ilustracje i niska cena rub. 1 kop. 50 za tom, czyni to dzieło przystępnem do nabycia.

— „*Listek*“, miesięcznik, poświęcony miłośnikom kart pocztowych i ilustrowanych, rozpoczął swe istnienie w Styczniu r. b. W szeregu zamieszczonych tamże artykułów, spotykamy trafne uwagi na temat zamięłowania do kart pocztowych. D-r Zygmunt Bychowski w nakreślonym szkicu p. t. „*Kartofilia, jako czynnik pedagogiczny*“, zwraca uwagę wychowawców, aby zachęcając dzieci do zbierania pocztówek, potrafili umiejętnie pokierować tem zamięłowaniem, nie pozwalając mu się w bezcelowy „sport“ rozwinąć. W tym celu radzi zgromadzać karty z wizerunkami sławnych ludzi, o których życiu i czynach wiekopomnych, choć w kilku wyrazach opowiedzieć należy. Dziecko w ten sposób o wiele łatwiej przyswaja sobie te wiadomości, niż przy sytematycznej nauce.

Jeszcze jeden rodzaj kart zasługuje na uwzględnienie: pocztówki geograficzne, a także opatrzone podobiznami piramid, wulkanów, wodospadów, lodowców, jezior, kopaliń, roślin i zwierząt krajowych i egzotycznych, które ułatwiają poznanie własnego kraju i świata otaczającego. Reprodukują dzieł sławnych naszych malarzy i rzeźbiarzy pozwalają nam zapoznać się bliżej z dziełami sztuki, oraz zapamiętać imiona ich twórców. Ze względów etnograficznych dobór typów i ubiorów ludowych charakterystycznych, zanikających, zbiór fotografii słynnych pamiątek naszego miasta i kraju, jako też wszelkich po świecie rozproszonych, nie pozbawione jest istotnego znaczenia.

— „*Ogniw*“ drukuje w tłumaczeniu oryginalną japońską opowieść p. t. „*Sen dnia letniego*“, napisaną przez Lafcadio Hearn'a, profesora Uniwersytetu w Tokio.

— „*Ziarno*“ podaje wiadomość, jakoby policja pruska zabroniła wszelkich zabaw dla dzieci polskich, gdyż instytucje, zajmujące się organizowaniem tychże, mają na celu wpajanie w dzieci zwyczajów i obyczajów polskich, oraz wzmacnianie znajomości języka polskiego. Wobec tego na przyszłość wszelkie zabawy dziecięce traktowane być mają jako zebrania polityczne i odbywać się pod dozorem i za zezwoleniem policyi.

— Dnia 23-go z. m. odbyło się rozstrzygnięcie konkursu, ogłoszonego przez Salon Artystyczny na najlepiej namalowany obraz Najświętszej Maryi Panny Niepokalanego Poczęcia. Po dłuższych naradach, sąd konkursowy złożony z duchowieństwa i artystów-malarzy nie przyznał pierwszej nagrody żadnemu z nadesłanych obrazów, przyrzec sumę rubli 325 podzielono na dwie drugie nagrody po rubli 125 i trzecią rubli 75. Autorem jednego z obrazów, odznaczonych drugą nagrodą jest artysta-malarz Bronisław Wiśniewski (godło „*Żółty krzyż w złotem kole*“), drugiego, artysta-malarz, Jan Moniuszko (godło „*Trzy kłose*“), trzecią nagrodę otrzymał artysta-malarz Kazimierz Mirecki.

Oprócz nagród pieniężnych sąd konkursowy przyznał wzmianki zaszczytne dwom pracom, opatrzonym godłami: „*I ukazał się znak wielki na niebie*“ i „*Lux in tenebris*“.

— Na konkursie galicyjskiego Wydziału Krajowego na utwór dramatyczny, pierwszej nagrody nie przyznano żadnej z prac nadesłanych. Dwie drugie nagrody przyznano sztukom: „*Madaj zbój*“, p. Karola Mattauscha, oraz „*Lilith*“, p. Juliusza Germana. Dwie nagrody mniejsze przyznano sztukom: „*D-r Reutlow*“, p. Michalina Schwarzwöyny i „*Z pamiątek pana Seweryna Solpia*“, p. Macieja Szukiewicza. Odznaczono sztuki następujące: „*Ojcowi*“, p. W. Ruklina, „*Moloch*“, p. Władysława Zaleskiego, „*Bagienko*“, p. Bolesława Gorczyńskiego, „*Credo*“, p. Maryi Płazkówny, „*W mroku*“, pp. Henryka Zbierzchowskiego i Zdzisława Kamińskiego, „*Okup*“, p. Anny Sokółowskiej.

— Dnia 28-go z. m. w wielkiej sali Filharmonii odbył się odczyt na powodzie. Na katedrze pojawili się jako prelegenci: Aleksander Świętochowski, mówiąc „*O uczniowych tamach postępu*“, Stanisław Kempner „*O egoizmie w ekonomii*“, a znany poeta, Antoni Pilecki, wygłosił własne utwory poetyckie.

— P. Stefan Kulikowski, właściciel świeżo otworzonego „*Salonu Sztuki*“ przy ulicy Marszałkowskiej pod № 129, podaje do wiadomości, iż w r. b. uczniowie i wychowawcy wszelkich zakładów naukowych we czwartki, niedziele i święta mogą korzystać z wejścia bezpłatnie. Niewątpliwie młodzież wdzięczna za pozyskane udogodnienie, skwapliwie zeń zechce skorzystać i podążyć tłumnie, aby się zapoznać z dziełami sztuki, kształcić oko i smak artystyczny.

— „*Kurrier Sosnowicki*“ podaje wiadomość, że od połowy Stycznia r. b. otwartą została staraniem Zarządu Towarzystwa pomocy Naukowej tamże Kuchnia dla uczniów Szkoły realnej w Sosnowcu. Codziennie podczas dużej paury uczniowie otrzymują gorące śniadanie i herbatę. Ceny bardzo przystępne, pokarmy zdrowe i smaczne, np. porcja kotleta z jarzyną i chlebem kosztuje 12 kop., porcja ryby 15 kop., szklanka herbaty 2 kop., butersznit z szynką lub serem 3 kop., książeczka 10-honowa wynosi 1 kop. 47. Z biegiem czasu, gdy fundusze Towarzystwa wzrosną, projektują wydawać ubogim uczniom bony bezpłatnie. Myśl podobna zasługuje na poparcie, a mogłaby z pożytkiem znaleźć zastosowanie i u nas.

— Muzeum Pszczelnicze podaje do wiadomości, iż dnia 11-go Kwietnia r. b. rozpoczyna się cztero-miesięczny kurs pszczelnictwa, obejmujący zarazem naukę wyrobu miodów syconych, win i soków owocowych.

Oplata od uczestników i uczestniczek kursów wynosi rubli 30. Zapisy przyjmuje kancelarya Towarzystwa w Warszawie, przy ulicy Wiejskiej № 12.

— Dnia 16-go z. m. zmarł w Warszawie w wieku lat 57 ś. p. *Lucyan Bojasiński*, adwokat przysięgły, magister prawa i administracji b. Szkoły Głównej, obrońca przy Konsystorzu rzymsko-katolickim w Warszawie.

— W Lublinie zmarł ś. p. *Mieczysław Saryusz Wolski*, właściciel fabryki maszyn rolniczych. Zmarły brał żywy udział w życiu społecznym Lublina, przyczynił się do rozwoju wielu instytucji społecznych i ekonomicznych. Żył lat 60.

— W Krakowie zmarła ś. p. *Wanda z Grabowskich Żeleńska*, żona znanego kompozytora, literatka, a nasza stała współpracowniczka. Obszerniejszy nekrolog umieścimy w przyszłym numerze.

— We Wrocławiu zmarła ś. p. *Izabella Radońska*, pierwsza prezesowa zorganizowanego przed kilku laty tamże Towarzystwa Polek. Zmarła organizowała i wygłaszała odczyty polskie, gromadziła fundusze dla biedaków, wyszukiwała ich i wspomagała.

ODPOWIEDZI.

— *Pani Zboromińskiej w gub. Mohylowskiej*. — Nie jesteśmy w możności rozporządzać wzorami do wszystkich, przez nas umieszczanych robót lub wzorów ubrań—niektóre służą jedynie za pomysł, a wzór z łatwością dobrać można w specjalnym magazynie robót p. Kaczorowskiej (przy rogu ulicy Żabiej i Placu Bankowego).

Treść numeru:

Odezwa JE. ks. Arcybiskupa warszawskiego. — List z powodu artykułu p. t.: „*W ważnej sprawie*“, przez Zrzedę. — Przy kominku (pogawędka), przez Kazimierza Glińskiego. — Jad, powieść, przez Maryana Gawalewicza (ciąg dalszy). — Zmartwychwstanie (wiersz), przez Bożymira. — Z obrządków i zwyczajów starodawnych: Gaik, przez Z. Morawską. — Nowa literatura francuska, przez A. Langego. — Historia kobiety, studium historyczne, przez Julię Terpiłowską (ciąg dalszy). — Wielkie czucia! przez Jadwigę z Z. Strokową. — Nasz Kwestyonaryusz macierzyński (ciąg dalszy). — Szkice z Japonii, według A. B. de Guerville'a (ciąg dalszy). — Na półkach księgarskich, przez g. — Kronika działalności kobiecej, przez Z. S. — Nasz ul. — Odpowiedzi. — Ogłoszenia.

Do dzisiejszego numeru dołącza się arkusz 14-ty powieści „*Miłość moim grzechem*“, w przekładzie z francuskiego M. Łaganowskiej.

Dodatek: Opis ubiorów i robót (rycin 16). — Przepisy kuchenne, Tablica królow, oraz *Rycina kolorowana mód paryżskich*.



MOJE PISEMKO

Najtańszy tygodnik obrazkowy

dla dzieci do lat 10

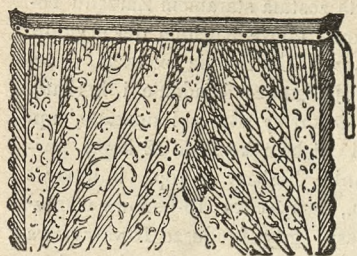
Numer okazowy na żądanie

bezpłatnie.

KWARTALNIE

50 kop. z przesyłką 75 k.

Adres Redakcji Księgarnia M. ARCTA w Warszawie, Nowy-Swiat Nr. 53.



Praktyczna
Nowość!

Tasiemka
„FAWORYTA”

bez szpilek i gwoździ momentalnie upina firanki
nie niszcząc ich.

Do nabycia we wszystkich sklepach.

Wyłączna hurtowa sprzedaż

Józef Grzywaczewski i S-ka

Warszawa, Warecka 10. Telefon 1030.

Amazonki

Jan Zborowski

Kostiumy

KRAWIEC MĘZKI

WARSZAWA, ul. Nowy-Swiat № 30

1-sze piętro od frontu (naprzeciw Chmielnej)

Ma zaszczyt zawiadomić J. W. i W. Panie iż otworzył

ODDZIAŁ OKRYĆ DAMSKICH

Płaszcz

pod osobistym kierunkiem

Żakiety

Palta nieprzemakalne

otrzymał świeży transport

G. EHLERT,

Senatorska № 19, 1-e piętro

wprost Daniłowiczowskiej.

33 NOWY-SWIAT 33

SKŁAD PAPIERU

Edwarda Teodorkowskiego

poleca wielki wybór papierów listowych krajowych i zagranicznych. Albumy do kart pocztowych, karty pocztowe, wizytowe, oraz wszelkie roboty drukarskie i litograficzne.

ZAKŁAD HODOWLI DROBIU RASOWEGO

Izabelli Ryxowej

w Prażmowie, p. Grójec (g. Warsz.), ma:

do Sprzedania.

1) Indory brązowe, amerykańskie i indory czarne, francuskie, Solońskie, zahartowane na deszczu, rosie i mrozie. Cena 10 rb. sztuka. 2) Gąsiorzy rasy Emdeńskiej, wielkie, śnieżnobiałe, tegorocznego lęgu, wyborne reproduktory dla odświeżania krwi. Cena 8 rb. sztuka. Indyki i gęsi (samice) tychże ras na sprzedaż przeznaczone, już wszystkie wyprzedane.

Kwiaty do kapeluszy

podług modeli Paryskich; garnitury ślubne, ubieranie żardinier koszu i wazonów.

KIEŁKIEWICZ

Niecała № 10.

Ceny niskie.

Patentowany Angielski ANTI-GORSET „PLATINUM”,

odznaczony na wszystkich wystawach Europy.

Główne jego zalety są:

nie posiada brykli i bocznych stałek, gdyż zapięcie nowej konstrukcji w zupełności je zastępuje;

może być w każdej chwili wyprany jak zwykła bielizna, albowiem platinki mogą być lekko wyjęte i wstawiane bez prucia i szycia.

Platinki są elastyczne, miękkie, lekkie, plecione jak włos, nie rdzewieją nie łamią się nigdy i dlatego każda dama może anti-gorset nasz swobodnie przez dzień cały nosić, nie doznając najmniejszego ciśnienia na organizm.

Materyał gorsetu mocny, kolor trwale, a przez brak części stalowych zyskuje dużo na lekkości.

Przez swój dobry fason i odpowiedni krój, gorset nasz daje się do każdej figury zastosować.



Osoby brzemiennie mogą dowolnie gorset nasz rozszerzyć lub zwęzić, karmiąc zaś nie rozpinając karmić.

Ażeby zaznaczyć jak najszerzy ogół z naszym udoskonalonym Anti-Gorsetem „Platinum” wyznaczaliśmy możliwie niskie ceny, a mianowicie:

Drill 4.85; batyst. 6.50; tiulowy 7.00; batystowy jedwabny w deseń 9.00; satyn jedwabny 12.00.

Dla brzemiennych, karmiących, oraz bardzo pełnych 50 kop. drożej. Zamówienia zamiejscowe wysyłamy za zaliczeniem pocztowym bez zadatku. Za przesyłkę liczymy kop. 50. Przy zamawianiu trzech lub więcej sztuk, przesyłka na nasz koszt. Do obstalunku należy dołączyć miarę w jednym z wymienionych sposobów:

1) Numer noszonego gorsetu, 2) albo wymiar szerokości jednej połowy noszonego gorsetu w piersiach, talii i biodrach, albo 3) Panie gorsetów nie używające, zechcą zmierzyć, będąc ubrane w stanik, w około pod pachami: pełny obwód w piersiach, talii i biodrach, (nie nie odliczwszy i dolizywszy).

Gorsety, wysyłane pocztą, jeżeli okażą się nieodpowiednimi, zamieniamy na swój koszt.

Patent 10-letni na Rosję za № 1324. Wyłączna sprzedaż na Cesarstwo i gub. Królestwa Polskiego:

W fabrycznym składzie „HYGIENA” Senatorska 32 w Warszawie.

Księgarnia J. Fiszer, Nowy-Swiat 9 w Warszawie—zaleca dzieła pedagogiczne Reussnera do bardzo prędkiej i najłatwiejszej nauki Języków Obcych, bez nauczyciela z objaśnieniem wymowy i z kluczem pod tyt.:

Polsko-Niemiecki kurs wstępny (Elementarz) po k. 5, 12, 24 i 40; kurs I-y k. 80, kurs II-gi rb. 1.60.

Rusko-Niemiecki po kop. 5, 12, 24, 40 i 2.20.

Polsko-Francuski kurs I-y k. 1.20; kurs II-gi rb. 3.20.

Gramatyka Polsko-Francuska kop. 1.20.

Wypisy Francuskie kop. 80.

Polsko-Angielski kurs I-szy kop. 75; kurs II-gi kop. 1.20.

Amerykański Przewodnik kop. 50 i 5.

Polsko-Ruski Elementarz po kop. 5, 12, 24, 40;—kurs I-y kop. 1.40;—kurs II-gi kop. 1.80.

SAMOUCZEK:

BIURO NAUCZYCIELSKIE ZALESKI

Berga Nr. 8.

Rekomenduje nauczycielki, nauczycieli, bony polki i niemki. Sprowadza francuzki z własnego biura w Paryżu.

BIURO NAUCZYCIELSKIE PAULINY BURCHARDT

Warszawa, Marszałkowska 125.

== Poleca Nauczycielki, Bony. ==

Pracownia Sukien i Okryć Damskich

„HELENY”

Wielka 40 m. 20.

Fasony podług modeli paryskich wykonywa po cenach przystępnych.

Ciechocinek,

Pensjonat „Zachęta”. Pokój z pościelą całodziennym utrzymanie, pierwszy i trzeci sezon od 2.50 do 4 rb. Zamawiać do 15-go Maja Warszawa Moniuszki 9. Kuczańska.

BIURO NAUCZYCIELSKIE JAHŁKOWSKIEJ

Warszawa, Marszałkowska 118

poleca: nauczycielki, bony, cudzoziemki.

Wydawca: *Piotr Laskauer*.—Redaktor: *Maryan Gawalewicz*.

Дозволено Цензурою. Варшава, 18 Марта 1904 г.

Druk Piotra Laskauera i S-ki, Nowy-Swiat 41